

TYGODNIK ILLUSTROWANY



OREMUS

EDWARD OKUŃ

W TRAGICZNEJ GODZINIE

„DUMA O HETMANIE“ STEFANA ŻEROMSKIEGO.

I.

...I przyszła znowu godzina melancholii, w której rzeczywistość snuć zaczęła przed oczyma poety ponury korowód swych nieczemności. Wokół — pobojuwisko zmaltretowanych, poranionych, okaleczonych dusz, albo — bezwstydnym, rozpasanym, dumny ze swej przyziemności kompromis. Na horyzoncie — mdlejące, nieuchwytnie światła... W mózgu twórcy pogasły nadzieje. Jest, jak miasto, przez które jeszcze raz przeszła zaraza, więc domy opustoszały. Są tam jedynie bogate sprząty, są skarby, które do nikogo nie należą. Przyszła chwila rozpacz, chwila rąk załamania, w której duch widzi przed sobą tylko czarność, czarność przerażającą. Serce, stygmatami przeszłości poorane, pożera tragiczną tęsknotą. Wypełnia je po brzegi żal, żal bezmierny za tymi dniami, gdy wola narodu sama dyktowała sobie prawa, gdy Polak własnym oddychał powietrzem, gdy geniusz rasy szukał bohatersko przeznaczeń swoich i regulował przeznaczenia innych. Ani kroku „stąpić samorodnie“, ani jednego czynu nie mógł wyzwolić całkowicie, ani jednej myśli narodowego jutra nie mógł wydobyc z pod głazu, którym ją przytłoczono — oto straszliwe widma, które stanęły przed wyobraźnią Żeromskiego w tragicznej godzinie zadumy.

Ujrzał w sobie znowu duszę, na dwie rozdarta sprzeczności: kołaczę się w niejdawny żołnierz Rzeczypospolitej, rycerz niezłomny, który zahartował swe męstwo w nieustannych bojach, ale w bojach również stwardniał i ma pasyę okrucieństwa, okrucieństwa bez granic; a naprzeciw niego stanął człowiek nowy, rycerz ducha, mąż litości i tkliwości pełen, ideolog, zapatrzony w gwiazdę lepszej ludzkości, która nie stawa się jeszcze, ale już zaciążyła mgławicą nad sercami i dziś, jutro stawać się pocnie i gotować nową, wymarzoną wieczność.

Rycerz wojny, rycerz okrutny upaja się zapachem krwi, hukami dział, szalem odwagi, rozpaczonym heroizmem; rozdrapuje swe zabliznione rany widokiem katuszy, które zwycięzca zadawał bez miłosierdzia, wyjął okropne: *vae victis*; dławi się obrazami walki tych „szaleńców“, co szli w bój, rzucając śmierci pogardliwe: *rozdziobią nas kruki, wrony...*; patrzy na olbrzymią epopeję wysiłków, które się zwały w gruzy i *popioły*; czyta w oczach ukrzyżowanego Walgierza Udałego tajemnicę żelaznego bohaterstwa.

A rycerz ducha opiewa *syzyfowe prace* pokoleń, skazanych na zagładę; opowiada, jak gaszone są bezmyślnie *promienie* najczystszych istnień; odziewa wielkim płaszczem bolesnego marzenia *ludzi bezdomnych*; szuka źródeł *grzechu*; ogrzewa żarem uczucia skostniałe z życiowego mrozu energie; staje z duszą, wypełnioną piekłem milczenia, obok tych, co milczą w bólu bezmiernym; wyczarowuje precudną barwą każdy wdzięk rezygnacji, beznadziejnego cierpienia, nieznanego poświęcenia...

W walce rycerza wojny, szaleństwem boju pijanego, z heroldem lepszej ludzkości, budowniczym Jutra — mieści się całe może zagadnienie twórcze Żeromskiego. Raz jeden rycerz niezłomny podał w nim dłoń ideologowi sprawiedliwości społecznej, i wówczas roic poczeli obydwaj wściekłą *legendę o szpadzie*. Zazwyczaj ta zgoda nie posuwa się tak daleko. Gdy rycerzowi wojny krwią nabiegną oczy, a dłoń tnie bohatersko naokół, rycerz ducha staje przy nim upiornym zjawiskiem i szepce niespodziane, rozbolełe słowa miłości, szuka logiki frenetycznego czynu, wstępuje w głębię rozplomienionej walką istoty i wlewa w nią strumienie łez nad niedolą ludzką.

* * *

Po zwątpieniu o człowieku, jakie ogarnęło obydwóch w „Dziejach grzechu“, rycerz wojny rzekł rycerzowi ducha: *choź ze mną w przeszłość*; pokażę ci najwspanialsze wykształty mej duszy; zobaczymy arcytyp bohaterstwa narodowego, zobaczymy, jak umierał rycerz bez skazy, co przez całe życie torował sobie mieczem drogę do świętego Grala zjednoczonej, potężnej Ojczyzny; rycerz, co mówił o sobie: „na harcach, bitwach i szturmach krew moją dla Rzeczypospolitej przelewając, 44 obozy złożyłem“; bohater, co proroczą obawę rozpadania się Polski łączył z tytanicznym wysiłkiem zespolenia w jedno wszystkich jej sił.

— I zobaczymy — dodał rycerz ducha — jakie to stygmaty pokładła nam na sercach ta Ojczyzna nieszczęsna, którą kochamy dziś

więcej słabością i nieudolnością, niż wola, żądzą czynu tętniącą.

Poszli w tę przeszłość, i tak powstała ich wspólna „Duma o Hetmanie“. Ustalili pomysł, ale spiętrzyły się trudności, gdy zaczęli pisać razem.

Z dawnego doświadczenia pamiętali, że przeszkadzają sobie wzajemnie. Znosili nieraz fragmenty precudne — na bajeczny zamek materiały. Ale jakże często, zapatrzeni w treść fragmentów, lepili całość bez troski o linię ogólną! Rycerz ducha podawał rycerzowi wojny niekiedy całe tomy rozpraw społecznych, rozmyślań filozoficznych, opisów z podróży, poszukiwań bibliotecznych, wspomnień życiowych — i mówił: *włóż i to jeszcze; dodaj i tanto!* Wciąż przecież w budowlach przedziwnych Żeromskiego istniało dążenie odśrodkowe; duch rozsadał w nich pojedyncze kształty tak silnie, iż rosły w potworne bryły, a potem trzymał je z trudem w ciężeniu wspólnym, niby fantastyczne planety, zawieszane w nieskończoności marzenia.

Poczuwszy całą wadliwość takiego budowania, ułożyli się obaj rycerze zgóry o metodę pracy, podzielili poemat na dwie części: w pierwszej rycerz wojny opowie, *co było*, zmieści w zwięzłym „prologu“ i „epilogu“ historię termopilowych zapasów Żółkiewskiego, w drugiej — rycerz ducha zacznie „z myśli gryzących, bezsennych snuć długie pasma“ tego, *co być mogło*, opowie „widziadła snu“ hetmańskiego i zamknie w nich nie tylko własną historyzofię Polski Batorego, ale i swoje ideały społeczne i swoją gorącą troskę o duszę polską i swoją „długą, boleść wieczności — bezsenną“...

* * *

Prolog i epilog zawierają ostatnią, cecorską chwilę polskiego Leonidasa. Stąd w nastroju ich, od początku do końca, groza śmierci, a obok niej przedziwna koncentracja środków artystycznych. Dwa olbrzymie ramiona wojska osmanowego, w sto kilkadziesiąt tysięcy żołnierza, „rozrosły się do uścisku popod złowieszczemi skrzydłami kruków“, a przeciw nim stanęło niespełna siedm tysięcy polskiego rycerstwa. Bo w Polsce „każdy z osobna wódz, każdy król“. Każdy prowadzi wojnę, z kim chce, i, gdzie chce, szuka ojczyzny: „Krzysztof Zborowski własne państwo zborowskie zakłada, przeciwko Polsce zmawia się z Moskiewskim i Rakuszanim. Samuel banita praktykuje Kozaki przeciw ojczyźnie. Zebrzydowski zgromadzi stotysięczną armię przeciwko panującemu królowi. Lisowski w kilka tysięcy urwanego od szubienicy człowieka... zdobędzie niezmierną krainę dla impostora Dymitra i Maryny“. A gdy sułtan ogniem wielkiej wojny w Polskę wybuchnie, „kiedy przyjdzie wszystkiego odżałować, nieprzyjaciela odepchnąć stos, gołe granice zastawić od nawały“, wtedy „ze wszystkiej, z najjaśniejszej Rzeczypospolitej



Pomnik Żółkiewskiego w Żółkwi.



ATAK HUSARYI

ST. KACZOR-BATOWSKI

nie znajdziesz, nie wyściskasz z kolan, nie wystoisz u drzwi przemożnych, nie wypiszesz tysiącem listów, nie wyzebrzesz przez rumor uniwersałów siedmiu tysięcy żołnierza“.

Stanął więc Żółkiewski przeciw sile dwadzieściakroć większej. Jego nieustraszone męstwo nie zlekło się dziczy muzułmańskiej. Wychodziło przecież nieraz zwycięsko z opresyi równie, jak ta, śmiertelnej. Ale serce hetmańskie drży obawą, czy zespoli się w jednym wysiłku ta „garstka szlacheckiej krwi“, czy ten Dawid nie zadrży przed Goliatem, który błyska „włócznią setek tysięcy“. Więc z przymrużonych oczu Hetmana pomyłka w dal wyzwanie: „— Ciebie się nie tylko boję, lecz lękam, o wolna, o kresu nie znająca duszo polska! Przed tobą drzę, ty niełacna, krnąbrna, sama siebie szaleństwem chłuszcząca, ty, samej sobie nieznana i nikomu niewiadoma“...

Nie omyliły złowrogie przecucia. Zdemoralizowane rycerstwo tłumnie ucieka z obozu i uprowadza ze sobą podjudzonego wroga. Śmierć zagląda już w oczy garstce walczyńców i czyta w nich straszliwą rezygnację, ostatnią już tylko, jedyną troskę: o honor Polski. A tymczasem tłuszcza zbestwiona, „rotmistrze, namiestnicy, żołnierze“, otoczyli obdarty namiot Żółkiewskiego i każą hetmanowi na Ewangelię przysiąc, że z obozu nie ujdzie. „Kocha się człowiek nasz nadewszystko w widowisku strącenia wielkości z jej stolicy. Nie znosi człowiek nasz dla wielkości zachwyty“.

Na nic ogrójkowa męka pokory hetmańskiej, na nic jego krwawy wysiłek, aby utrzymać w karności roztrzaskane w sobie wojsko. Po dziewięciu dniach upornej walki i „każdogodzinnej rozprawy, namowy, układów z szaleństwem garści, zamkniętej

w obozie,—w nieszpornej godzinie dnia wywiódł hetman cichaczem pięciotysięczne wojsko z Cecory“.

Zaczyna się rozpaczna *katabasis*. Okropności, klęski rosą pod piórem Żeromskiego do gigantycznych rozmiarów. „Pali ogień pragnienia, zagląda w oczy głód. Choroba w wozach skowyczy... Strudzony żołnierz, w szeregu maszerując, śpi“. Po ośmiu dniach bez strawy i snu omdlał lud. Stanął tabor bezsilny nad Dniestrem, i tam rozbito namiot dla wodza. „Już od dziesiątka dni bezsenna, spracowana głowa na wezglowie upadła“, i hetman pogrążony oto w „widziadła snu“. A potem... potem krótki, ostatni akt fatalnego odwrotu. W obozie więcej już ciurów, niż rycerstwa. Garstkę żołnierzy otoczyła furją zwycięstwa nasyciona siła Kantymira.

Leonidasowa drużyna hetmana stopniała do trzynastu niezłomnych. Hetman siecze się z zastępy wrogów sam, na śmierć, za imię polskie. „Odrąbał dziki z Azyej barbarzyńca w ramieniu rękę z szablą wrośniętą w dłoń. Odsiekł ją, jakoby gałąź od pnia. Padło walczące ramię, co sławy polskiej nie puściło z dłoni. A ściał inny wysoką głowę. Zleciała, jako dla wilków przynęta, żeby się nad nią zabawili, załoga bezpieczeństwa Rzeczypospolitej, z granic jej wyniesiona, iżby dalej spać mógł naród“...

* * *

Nigdzie Żeromski nie doszedł do takiej zwartości i mocy stylu, jak w tym opisie klęski cecorskiej. Przedziwna, zaiste, różnica pomiędzy obrazem wojny Sienkiewicza a tym bojem śmiertelnym.

Tam wojna ma przedewszystkiem bar-

wę i kolor, nęci plastyką, pociąga wielkim, szlacheckim nieładem, a jest zarazem jakąś dziką ucztą, jest widowiskiem, pełnem zajmujących niespodzianek, anegdót, rubaszości i pijanego temperamentu. Tu opis czynów boju zredukowany został do ostatecznej konieczności. Jest to nieomal opowiadanie historyka, ale podniesione do szczytów patosu. Każde zdanie ma stalową giętkość i prężność—ale i chłód stalowy.

Śmierć wyziera z każdego wiersza potworną zmorą, odbiera pocie wszelką zbudną zadumę, odsuwa od niego wszelkie czary bohaterstwa, zabiera wszelkie barwy ponętne, a stawia mu przed oczy wizję poświęcenia dla „imienia polskiego“, które pożerało wciąż, pożera i pożerać będzie najlepsze dusze tej nieszczęsnej ojczyzny.

Wyrazy zdań Żeromskiego wydają, zda się, same jakiś szcęk głuchy; brzmią, jak uderzenie szabli, huczą, jak strzały, wyją paniką rozproszenia i odwrotu. Zwijają się w sobie i kurczą, mają wciąż ruch dośrodkowy, tworzą obrazy fenomenalnie syntetyczne.

Jak groza niebezpieczeństwa posyła wysiłki po linii najprostszej, tak też i w eposie „Dumy“ przy największym natężeniu uczuciowem mamy największą zwięzłość wyrazu. Polak dzisiejszy po każdej stronicy tej wzniosłej księgi zaglądać będzie musiał do słownika, aby zrozumieć mnóstwo tęgich, a usuniętych przez zwężony żywot narodowy wyrazów. I gdy go ogarnie to tragiczne tchnienie powietrza polskiego z przed lat trzystu, wtedy ukłęknie zbożnie przed ołtarzami ojczyzny i pogrąży się w poetycką zadumę nad źródłami duszy narodowej, do których zstąpił Żeromski—rycerz ducha—w „widziadłach snu“ hetmańskiego.

JAN LORENTOWICZ.

Kazimierz zerwał się z krzesła... Chciał coś powiedzieć, lecz pohamował się nie bez wysiłku i tylko pomyślał:

„Albo to był Chrzanowski, albo... chyba rozum tracę“...

Linowska, nie podnosząc oczu, uważnie przypatrywała się Świrskiemu. Ale Wilczek nie spostrzegł wzruszenia swego słuchacza i prawil dalej:

— Najmniej... to jest wcale nie podobal mi się trzeci: wielki drab, z twarzą bladą, nalaną, ponuremi oczyma. Chwilami wydawał się ociężałym, a chwilami był gibki, jak kot... Tego migdałka, powiem państwu dobrodziejstwu, nie chciałbym sam na sam spotkać w lesie...

Na twarz Świrskiego wystąpiły mocne rumieńce. Prawie był pewien, że ów trzeci to—Starka, że wszyscy trzej byli tymi kolegami, o których troszczył się i dla których został w kraju. A z drugiej znowu strony przeraziły go obserwatorskie zdolności Wilczka.

„Ile ten człowiek nieszczęścia mógłby narobić, gdyby chciał“... pomyślał Kazimierz. Ale na łagodnej twarzy podleśnego prawie było napisane, że—on nikomu źle nie zrobi.

Podano herbatę, a jednocześnie okazała z Hut Żelaznych przyniosła listy od starego Linowskiego i Władka. Jeden z listów był adresowany do Świrskiego.

„Mój najmilszy—pisał Władek—jeszcze raz proszę, błagam cię, przyjeźdź do Grudy choćby na kilka godzin. Drogi są zupełnie bezpieczne w tej okolicy. Nasłuchałbyś się tu... nasłuchał!... Powiem Ci dwa słowa: Galicyanie są pewni, że cały ruch rewolucyjny i strajkowy u nas wywołują pruscy ajenci, ażeby albo zagarnąć nasz kraj pod niemieckie panowanie, albo przynajmniej zrujnować nas ekonomicznie i politycznie... Resztę sam sobie dopowiedz...“

Po wyjeździe Wilczka panna Jadwiga poszła do kuchni, skąd niebawem przybiegła zmieszana.

— Czy i do nas wpadł jaki oddział?... — zapytał Świrski z uśmiechem.

— A czy pan wie, że ten niby biedny chłopiec, ten Stasiak, uciekł?... —

— I może ukradł co... — dorzucił Świrski.

— Gorzej, bo wypytywał naszych parobków: ilu jest mężczyzn w domu?... ile broni?... czy u nas nocują gajowci?... Ale co najgorsze—szeptała Jadwiga—że nasza męska służba nic nam o tem nie wspomniała i—może nawet ułatwiła ucieczkę temu nicponiowi... który... niech pan tylko słucha... który częstował ich wódką!... Ten biedny żebrak... ten przygarnięty przez nas głodomór miał ze sobą wódkę!... Szczerze mówiąc, obawiam się, czy to nie był szpieg jakich zbójców i czy nas nie napadną?... To samo myśli i Różia

— W takim razie... może pozwolą mi panie... nocować w kancelaryi pana Linowskiego?...—rzekł zarumieniony Świrski.

Panna Jadwiga udała się na naradę do Linowskiej i wkrótce powróciła, donosząc Kazimierzowi, iż panie zgadzają się na jego projekt. Na dobranoc powiedziała mu komplement:

— Wie pan, pan jest młody, a przecież my obie z panią Linowską czujemy się bezpieczniejszymi, kiedy pan jest na dole... Pan nie opuściłby nas...

— Wołałbym zginąć, aniżeli w niebezpieczeństwie opuścić panią... i panią Linowską, której mam obowiązek zastąpić syna—dodał szybko.

Zanim położył się spać, Świrski poszedł do kuchni, w celu dowiedzenia się czegoś o ucieczce Staśka; ale parobcy milczeli, a nawet ukradkiem wymieniali między sobą znaczące spojrzenia. Kandydat na wodza opuścił ich, gniewny; jasno bowiem w tej chwili zrozumiał, że—ani uprzejmość, ani hojna kolenda nie zjednały mu zaufania służby. Oczywiście, musiały zajść od niedawna jakieś zmiany w ich usposobieniu. Zarówno bowiem Jadwiga, jak i pani Linowska, zgodnie twierdziły, że dotychczas tak dziewczęta, jak parobcy, w Leśniczówce odznaczali się nie tylko uczciwością, lecz i szczerem przywiązaniem do swoich chlebobodawców.

„Nie krzywdzili ich Linowscy—myślał Kazimierz—traktowali, niby członków rodziny, leczyli, nawet uczyli i pomimo wszystko—nie mogą rachować na ich wierność!“...

Wróciwszy do kancelaryi, gdzie posłano mu na obszernej kanapie, Świrski opatrzył brauning i wraz z kilkoma zapasowymi magazynami włożył go pod poduszkę. Na myśl, że bandyci mogą ich napaść, uczuł przyjemny dreszczyk; nareszcie raz znajdzie się wobec istotnego niebezpieczeństwa i posłyszany świst kul, wystrzelonych nie na żarty!... A gdyby nawet zginął, broniąc kobiet, gdyby zginął w obecności panny Jadwigi, czy nie byłaby to piękna śmierć?... Hej, śmierć! straszna dla tych, którzy się jej boją... Niech no przyjdzie, niech spojrzy mu w oczy, a wtedy zobaczymy, kto się ulęknie.

Zgasił światło. Gdzieś, w stronie wsi, zaczął ujadać jeden pies... drugi... Później głębokimi basami odezwały się psy podwórzowe... Na drodze słyhać niby tętent koni, potem szelest kroków na dziedzińcu, potem niby ciche pukanie do drzwi... Świrski uniósł głowę nad poduszką, w rękę ścisnął brauning i czekał, czekał... pełen radosnego niepokoju...

„Gdybym trafił dwu albo trzech, reszta ucieknie—myślał.—A mogę trafić, bo nie będę strzelał na ślepo... A, a, a, niech żyje wejna... niech żyją bandyci!“...

I wśród tych przyjemnie drażniących wzruszeń—zasnął twardo, jakgdyby zgasł...

Gdy obudził się, był już wielki ranek, i kawa czekała na niego. Około południa przyszedł gajowy Łochowski i zameldował, że opowiadali mu Żydkowie, jakoby stało się coś niedobrego w Żelaznych Hutach. Po

obiedzie zaś przyjechał chłopak z Żelaznych Hut i oddał Świrskiemu list, w którym kasyer fabryki nakreślił te słowa:

„Sekretarz zabity—piec wielki zgaszony—strajk“...

Kazimierz wybiegł na dziedziniec i oburącz schwycił za ramiona posłańca.

— Co się u was dzieje?...—spytał zdławionym głosem.

— Nic, proszę pana... — odpowiedział wylekniiony chłopak.

— Czy prawda, że zabili sekretarza?...

— Ści prawda... Ale to było zapowiedziane. I piec zgasiły, bo też było zapowiedziane.

Świrski stał bez ruchu; chwilami zdawało mu się, że z głowy uciekły mu wszystkie myśli, jak spłoszone ptaki; to znowu czuł taki napływ pytań, obrazów, przewidywań, że zaczął obawiać się o swój rozum.

Sekretarz... sekretarz nie żyje!... Ten, który zachęcał robotników do nauki i zakładania stowarzyszeń, ten, który cieszył się ich zaufaniem... Ten sam, któremu on, Świrski, prawie zaręczył bezpieczeństwo!...

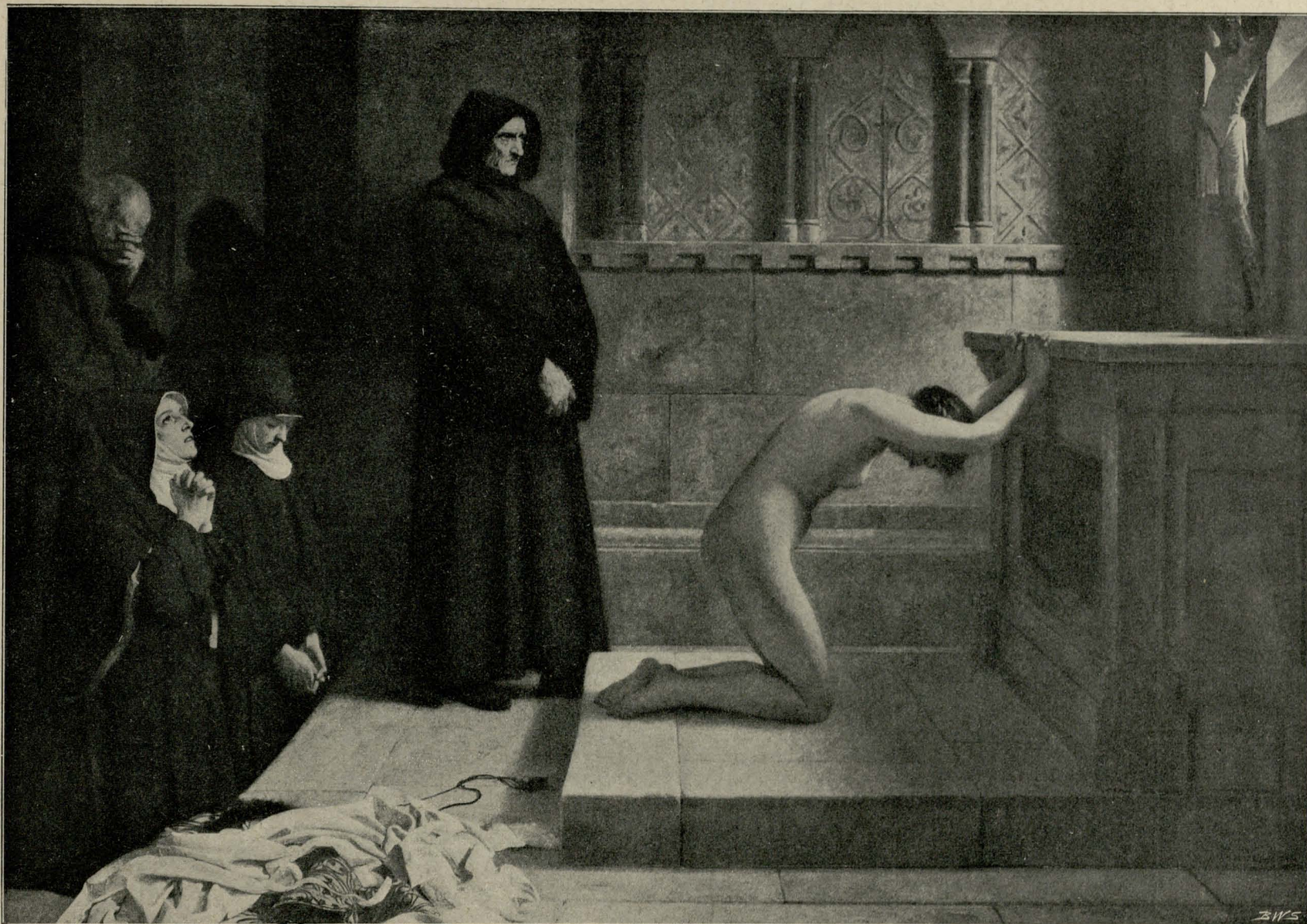
A jeżeli taki człowiek został zabity, więc kto dzisiaj będzie pewien życia? A jeżeli wszyscy tracą poczucie pewności, co stanie się z narodem?

Świrski czytał kiedyś, że jednym z najbardziej demoralizujących zjawisk natury jest trzęsienie ziemi. Okropną ma być owa utrata wiary w stałość gruntu, po którym chodzimy, na którym mieszkamy, który dotychczas wydawał się czemś najstalszym i najpewniejszym!... Podobnych uczuć doznawał on sam w tej chwili. I dotychczas wiedział i rozumiał, że w społeczeństwie można być obdartym, skrzywdzonym, zabitym, jak na twardej ziemi można przez nieuwagę potknąć się o kamień, albo wpaść w zagłębienie... Ale poza tego rodzaju przygodami gmach społeczny wydawał mu się czemś mocnym i trwałym, czemś zupełnie bezpiecznym, a ludzie, żyjący w społeczeństwie, istotami, godnymi zaufania. I dopiero niemożliwe, nieprawdopodobne, przynajmniej dla niego, zamordowanie sekretarza wywołało w Świrskim efekt wybuchu miny, która wstrząsnęła jego wiarę w społeczeństwo i coś poprzewracała, a nawet zupełnie zniszczyła w jego duszy.

Co mianowicie?... jeszcze nie zdawał sobie sprawy.

Poczuł zimno i spostrzegł, że stoi na dziedzińcu w kurtce, bez czapki. Zarazem przypomniał sobie, że trzeba w jakiś sposób o nieszczęściu zawiadomić kobiety. Ale jak tu powiedzieć Linowskiej, że człowiek, którego od kilku lat widywała, znała i lubiła, który przed dziesięcioma dniami był u niej na wigilii, a onegdaj rozmawiał z nią, że człowiek ten nie żyje; został bowiem zamordowany za wyrokiem jakiegoś politycznego czy zbójckiego komitetu!...

Świrski nie poszedł do kancelaryi, sąsiadującej z pokojem Linowskiej, lecz na górę, gdzie poprzednio sypiał, a obecnie w dzień



ZRZECZENIE SIĘ

P. H. CALDERON

mieszkał. Panna Jadwiga zauważyła przez okno jego rozmowę z posłańcem z Hut; coś ją tknęło, więc pobiegła za Kazimierzem. Spotkali się w sieni. Świrski był tak zmieniony, że Jadwiga nie miała odwagi zadać mu pytania.

„Może z domu miał jaką nie dobrą wiadomość—pomyślała—a może... z Grudy?”

Więc milczała i tylko patrzyła mu w oczy przerażona.

— Sekretarz zabity!... — szepnął Kazimierz—w Hutach strajk...

— Sekre... sekretarz?... — odpowiedziała tym samym tonem.—Ależ on był u nas...

— Za—bi—ty!...—powtórzył Świrski.

Jadwiga, drżąc, schwyciła go za rękę.

— Ależ on był u nas... kiedyż to?... chyba onegdaj?...

— W jaki sposób zawiadomić o tem panią Linowską?...—spytał Kazimierz.

Jadwiga zamyśliła się mocno, ścisnęła rękami czoło i rzekła:

— Czy ja wiem?... Mnie się zdaje, że najwłaściwiej zawiadomić ją poprostu. Jeżeli kto, to z pewnością ona nie ma serca kruszego...

— Więc niech pani to zrobi... Ja nie mam odwagi i... uciekam na górę... A oto list kasyera...

Wcisnął Jadwidze kartkę w rękę i wbiegł na schody, nie oglądając się za siebie. W pokoju rzucił się na siennik, pokryty derką, i przez pewien czas starał się o niczem nie myśleć, czując, że myślenie czyni mu prawie ból fizyczny... Tak jest, w jego duszy zdarzyło się coś nakształt trzęsienia ziemi, które pochłonęło mnóstwo pojęć, mnóstwo wierzeń, mnóstwo nadziei, a przede wszystkim... owe wielkie, piękne wojska, które wyhodował w swoich szczęśliwych snach na jawie!...

Już niema dzielnej piechoty w szaraczkowych bluzach, z żółtymi i amarantowymi epoletami, we francuskich czapkach, z wyborowymi karabinami szybkostrzelnymi... Niema armat na szafirowych lawetach, ani orkiestr, które wygrywały: „Do broni, ludy!“... Niema nic, ponieważ w duszy Świrskiego w proch rozsypała się wiara w możliwość podobnych zdarzeń...

Leżąc, przymknął oczy i—nagle zdało mu się, że przy nim stanął ktoś, niby Dębowski... Kazimierz był bardzo odważny, ale tym razem ścisnął mocniej powieki, pomyślał bowiem, że, jeżeli naprawdę zobaczy kogoś w biały dzień i w pokoju, który powinien być pustym, to znaczy, że ma halucynacje, że wpadł w obłąd...

(DCN)

KAZIMIERZ TETMAJER:

FRAGMENT.

Obcą, nieznaną mi doliną
szumne potoki górskie płyną —
nie tak szumiały u nas, tam...
W oczach mi świat przeszłości stoi,
w oczach mam pieśń przeszłości mojej,
w oczach ją mam...

Wszystkie się rana w jedno rano
zbiegły—w woń rzeźwą, w jaźń świetlaną —
ciupagę w krzepkiej dłoni mam —
przede mną chłop-przyjaciół stoi —
ah! gdzież są towarzysze moi?...
Zostałem sam.

Nie znam was, nie chcę znać— — mnie cienie
droższe, po których mam wspomnienie,
niż cały wasz żyjący świat...
Jam tylko jedno kochał w życiu:
szczyty, płonące na rozświciu,
pęd młodych lat!...

SD



Wielom, chęć i siła i waga i wyjątkowość.
Ciepła, chęć i siła i waga i wyjątkowość.

Wielom, chęć i siła i waga i wyjątkowość.
Ciepła, chęć i siła i waga i wyjątkowość.

FRAGMENT Z TRYPTYKU „CUD”
Z Salonu jesiennego w Warszawie

ZYGMUNT BADOWSKI

POLACY NAD BOSFÖREM.

ADAMPOL.

Bolesne dzieje narodu naszego zmuszały go nieraz do tułaczki po odległych ziemiach, a często i do stałego osiedlania się na obczyźnie. Wystarczy przypomnieć emigrację paryską, belgijską i t. d., z których do dzisiejszego dnia pozostały trwałe ślady, niby placówki, przez szereg dziesięcioleci dochowujące narodowość i związki z macierzystym krajem.

Warunki ekonomiczne wywołały konieczność innych jeszcze emigracji: stąd liczne już społeczeństwa polskie nadrugiej półkuli i rozproszone po wszystkich prawie częściach świata osady i gminy.

Pierwsze wrażenie, jakie odnosimy, zastanawiając się nad tem rozproszeniem narodu naszego, jest często bolesne. Zwłaszcza jeśli przywodzą nam się na myśl ciężkie koleje oddalonych rodaków, mozolny, ustawiczny trud zdobywania sobie wśród nowych warunków bytu codziennego, wreszcie niebezpieczeństwo wynaradawiania. Ale obawy te ustąpić muszą głębszym refleksyom. Gdzież to my dzisiaj nie jesteśmy wśród obcych? Gdzie walczyć nie musimy o prawo zachowania i przekazania cech narodowych?

A tak budzi się w nas owszem gorętsza nadzieja, kiedy spojrzymy na garście Polaków, rozsianych wśród dalekich cudzoziemców. Uczą się tam oni w twardej walce codziennej, nabierają cech, których często brak nam tutaj: wytrzymałości, pracowitości ciągłej—może nawet i stawania w zwartym szeregu przeciwko wspólnemu nieprzyjacielowi. I w każdym razie poznanie wielkiej, nowoczesnej kultury, zetknięcie się z obcymi zwyczajami i t. p. może tylko wzbogacić i rozszerzyć zakres widzenia i potrzeb. Kiedyś, w przyszłości, gdy nadejdzie czas, rzesze tych odsuniętych od ojczystej ziemi synów, powracając częściowo, dać mogą świeżą, ożywczą krew oswobodzonemu narodowi.

Te refleksje nasuwają się nam dziś znowu, kiedy oglądamy rozkwitającą, pełną przyszłości osadę polską nad cudownymi wodami Bosforu.



Adam i Ewa Adampola, Ignacy i Elżbieta Kępkowie.

Nie pierwszy to raz zatrzymuje się stopa polska w tych krajach. Już się te miejsca zapisały i w dziejach dawnej Rzeczypospolitej, już i w późniejszych znacznie czasach były widownią wielkich chwil i wielkich zamysłów. Wszak tutaj Adam Mickiewicz pośpieszył, żeby w ostatnim jeszcze porywie wydać gorącego ducha. Tu oczekiwał na niego w szacie już odmiennej, ale z tą samą miłością sprawy ojczystej Czajkowski—Sadyk-pasza. I stąd miał wyjść ostatni czyn natchnio-

nego wodza-poety, przerwany rychłą śmiercią. Stajemy w greckiej dzielnicy Konstantynopola, na miejscu, gdzie się ostatni odbył moment wielkiej tragedii. Na murowanym dziś domu, wystawionym w miejsce dawnego drewnianego, polski napis, prostemi słowami głoszący dzień i rok śmierci Adama Mickiewicza. A dokoła rozgłośny, uliczny gwar różnobarwnego tłumu greckiego. Dziwnie samotnym wydaje się na tem tle ten jedyny znak polski!... I tem radośniej budzi się w duszy przypomnienie, że tak niedaleko stąd polski podróżnik znaleźć się może wśród swoich, wśród Polaków. Z stolicy Turcyi, ze śródmieścia (t. j. ze Stambułu, Peru lub Galaty) wypływa się statkiem od pierwszego mostu na Żółtym Rogu do jednej z dwóch przedostatnich osad na azyatyckim wybrzeżu Bosforu (do Pasza-Bageze lub Bejkosu), a stąd łądem wśród gór docieramy do *Adampola*, który leży już na terenie azyatyckim. Cała droga trwa około czterech godzin—i naraz znajdujemy się jakby w wiosce polskiej, spotykamy dobrze nam znane typy, słyszymy wokoło polską mowę.

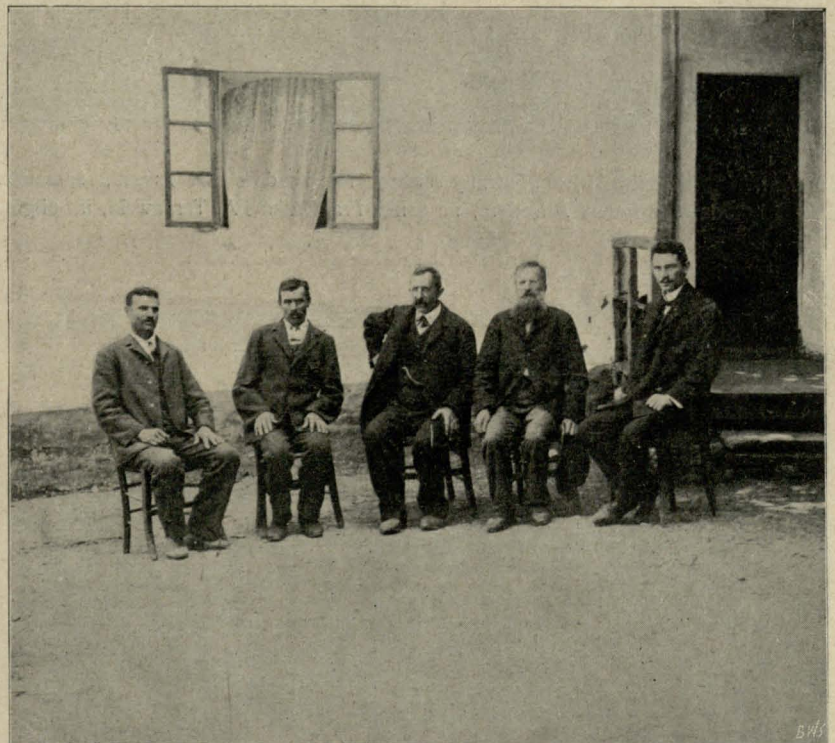
Niegdyś te miejsca były lasem i krzewami zarosłe, przez Turków „cygańskimi norami“ zwane (Czengene-Konak). W 1835 r. Michał Czajkowski (Sadyk-Pasza) zakupił w imieniu ks. Adama Czartoryskiego, za pośrednictwem zakonników św. Łazarza, za sumę 100,000 fr. około 2,000 morgów tej puszczy i przeznaczył je dla byłych polskich wojaków, pragnących żyć z roli. Osad-

ników nie tylko uwolnił wieczyście od płacenia sobie i swoim następcom jakiegokolwiek czynszu, ale nadto urządził tam zrazu „Administrację“, obowiązującą dostarczać im bezpłatnie narzędzi, potrzebnych do karczunku i uprawy roli, oraz rozdawać ordynaryę do pierwszych plonów.

Tak powstała osada, na cześć założyciela nazwana „Adampolem“ (t. j. miastem Adama). Już podczas wojny krymskiej liczyła ona 40 domów, mylnie więc niektórzy podają r. 1856, jako



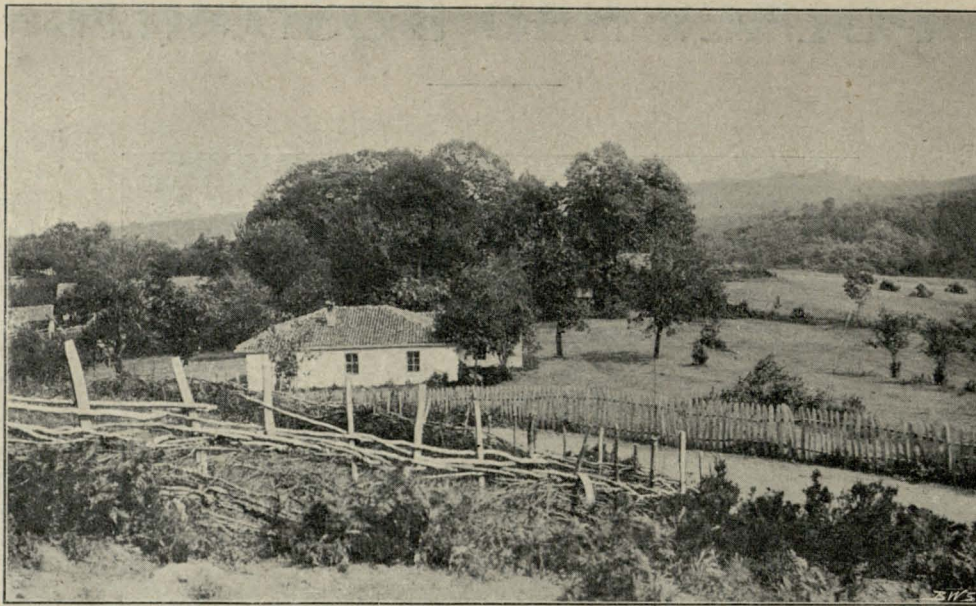
Kępkowie przed swoją chatą z młodszymi dziećmi: Maryą, Stanisławem i jego żoną z trojgiem dzieci.



Władza gminna w r. 1905 przed domem S. Dochody: 1) S. Dochoda, 2) L. Dochoda, radcowie, 3) L. Biskupski, wójt, 4) W. Ryży, opiekun szkoły, 5) P. Ziółkowski, nauczyciel.

datę jej założenia. Położenie Adampola jest nadzwyczaj korzystne zarówno pod względem piękną, jak i klimatu. W bliskości ciągną się odwieczne lasy, składające się z buków, dębów, orzecha i jadalnego kasztana. Bosfor oddalony o 2 godziny drogi, a wysokość wody nad poziomem morza wynosi 400 m. Czynniki te wpływają przede wszystkim na to, że klimat tu zdrowotny i przyjemny; z tego też powodu zjeżdżają tu na lato wcale liczni goście z Konstantynopola, a tak przyczyniają się oczywiście do rozrostu kolonii. Kto chce zakosztować pięknego widoku, poświęci dwie godziny i znajdzie się na wierzchołku góry Alemdag (700 m. wysokiej), skąd się widok rozpościera na całą kolonię, na Sztambuł, Bosfor i oba morza: o 10 mniej więcej wiorst Morze Czarne na prawo o 20 wiorst na lewo Martwe. Z góry tej podczas pełni a w pogodny zachód słoneczny obejmuje się wzrokiem równocześnie słońce, schodzące w Marmora, i księżyc, wyłaniający się z morza Czarnego.

W takim tedy otoczeniu rozwinęło się „miasto Adama“. Pierwsza para ludzi, tu osiadłych, stanowiła jakoby Adama i Ewę adampolskiego rodu, a ich potomkowie do tej pory w osadzie naczelnym miejscu zajmują. W ich rękę znajduje się młyn sławny na okolicę, a istnienie jego dowodzi, że i wody w osadzie nie brak.



Wjazd do Adampola. Plebania i plebańskie. Z tyłu, poza drzewami gospodarstwo b. administracji, nieprawnie zajęte przez B. Wilkoszewskiego.

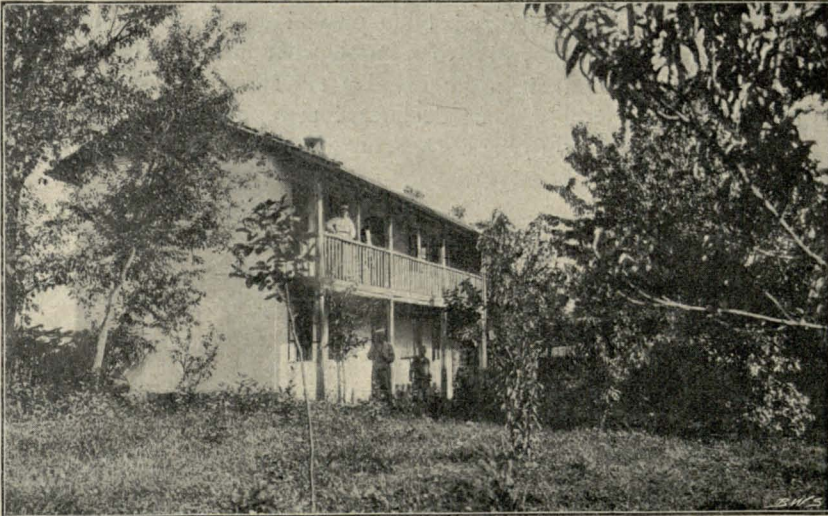
Sączy się ona w licznych wąwozach między wzgórzami i przepływa przez pola warzywne, zasiane znanymi i nieznanymi u nas warzywami, a potem stąd spada na młyn. Rodzinie Kępków osada zawdzięcza również opiekę konsulatu rosyjskiego, co zapewniło jej uwolnienie od różnych obciążających danin, przez rząd turecki wymaganych.

Dokoła gospodarstwa Kępków rozmieszczone są liczne już dzisiaj „sąsiedztwa“ Dochodów, Ryżych, Biskupskich, Ochickich i wielu innych. Gospodarze wybierają sobie radę gminną z wójtem na czele, i ta kieruje całym zarządkiem osady.

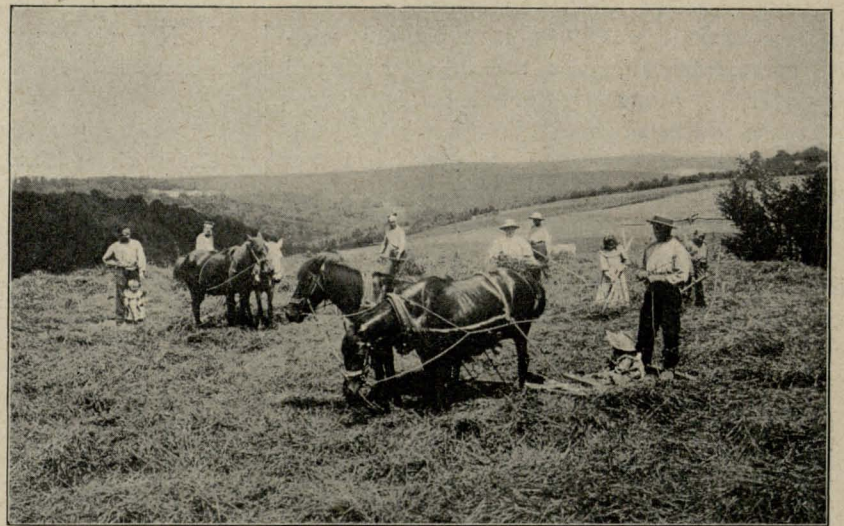
Obok gospodarstw prywatnych wznosi się na

gruntach plebanii szkoła, połączona z kaplicą. Tutaj schodzą się ludzie na modlitwę, odkąd dawny kościół musiał uleść rozbraniu z powodu stoczenia przez robactwo. Na placu dawnego kościoła pozostała tylko dzwonnica. Nowy ma powstać mniej więcej w tym samym miejscu, w lewej głównej ulicy. Stąd niedaleko, na węzle dwu gałęzi, rozchodzących się w prawo i lewo od wspólnego pnia drogi, idącej od Sztambułu, „przysiadła“ karczma ze sklepem spożywczym i z turecką pod olbrzymim kasztanem kawiarnią. Dochodząc w tym samym kierunku dalej do plebanii, która jest u wjazdu do osady, mamy po prawej ręce wzgórze cmentarza. Cmentarz (jak widzimy z załączonej ryciny) ocieniony gęstymi, rozłożystymi drzewami, a wśród puszysto nastrzępionych krzewów podnoszą się starannie, nieraz wykwinnie pobudowane grobowce. W ten sposób przybytek śmierci daje nam (jak zwykle) najlepsze wyobrażenie o życiu i charakterze osady: natura wspaniała, bujna, a wśród niej widoczne ślady kultury i rosnącego dobrobytu.

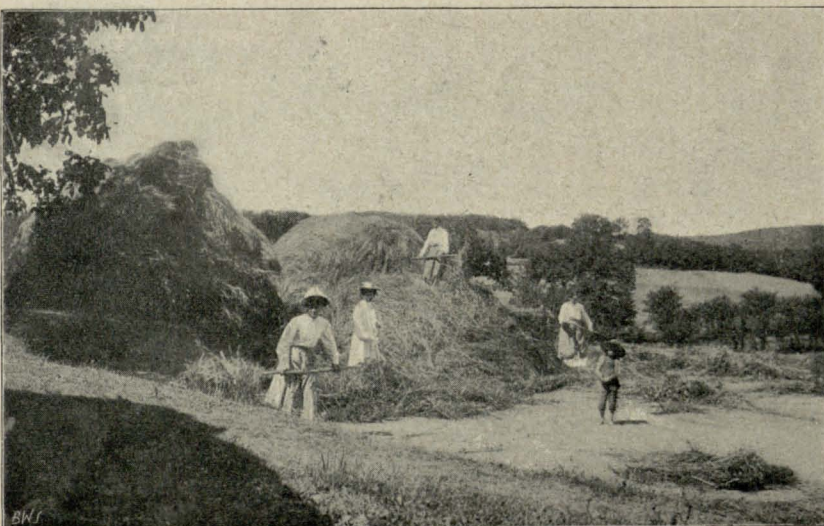
O tym samym świadczą i budynki, przeznaczone zarówno dla samych właścicieli, jak i napływających letników. Oto np. (załączony w ilustracji) dom Antoniostwa Wilkoszewskich, zbudowany niemal wyłącznie rękoma małżonków; wła-



Dom Ant. Wilkoszewskich, zbudowany ich rękoma, na dole stoi Antoni, samouczek stolarz i kołodziej, z synem Alfredem, na ganku Franciszka i A. Tarnawski, introligator.



Rodzina W. Ryżego i niektórzy sąsiedzi koloniści z dziećmi „harmanują“ (turecka młocka wraz ze rżnięciem siczki), od wyrazu tureckiego harman—klepisko.



Córki Ludwika Dochody wraz z matką ścielą harman.



Jan Dymowski z córką Anną, matka Teresa stoi w sieni domu, przykre sąsiedztwo Kępków

ściciel jest samoukiem-stolarzem i kołodziejem, a budynek nie pozbawiony jest nawet zalet estetycznych. Lub znowu zupełnie odmienny, mały, zaciszny, a jednak zdradzający ład i czystość domek Wojciecha Dochody. Mimowoli pragnienie się wysuwa, żeby na naszej ziemi rychło się przejawiała swoboda i wytrwałość i dostatek, wyglądający z okien tutejszych domostw. Jeśli dodamy jeszcze kuźnię, drugi młyn-wiatrak, to już wyraźnie staje przed nami cała osada, tak dziwnie ujawniająca charakter polski na tle tych odwiecznych lasów i wzgórz.

Warto przyrzeć się bliżej sposobowi, w jaki tu odbywają naszą młóckę. Otóż, korzystając z tego, że lato w Turcji bywa zazwyczaj suche (wichry i 4 miesiące deszcz nie pada), a słońce silnie dopieka, jako też dzięki regularności, z jaką tu wieją wiatry zachodnie, od godz. 9 lub 10 do 5 lub 6 ej, młócka w ścisłym znaczeniu wcale tu nie istnieje. Natomiast wydobywa się ziarno w następujący sposób.

W każdym gospodarstwie ubija się poziome, okrągłe klepisko, wielkości zależnej od ilości zebranego zboża, i to w miejscu, wystawionem na słońce i na silny przewiew. Klepisko takie nazywa się po turecku „harman“, stąd cała czynność ma nazwę „harmanowania“. Zżęte zboże układa się w stogi tuż przy harmanie. Następnie co dzień rano zaściela się klepisko zbożem, na grubość do dwóch piędzi; zajęcie to, jako najmniej utrudzające, jest częstokroć przyjemną rozrywką dla młodzieży tutejszej obojej płci.

Między godziną 8 a 9, kiedy słońce dobrze dopieka, zaczyna się po rozpostartem zbożu jeździć na wszystkie strony, na t. zw. „desce“, grubej na 3 palce, długiej półtrzecia łokcia i powstałej ze spojenia kilku desek; „deska“ ta ma kształt sani, a od spodu ponabijana ostrymi, płaskimi krzemieniami, których sterczy tam kilkaset. Jeśli „harman“ jest bardzo wielki, jazda odbywa się na kilku takich saniach. Ponieważ czynność ta nie



Dzieci szkolne z nauczycielem Ziółkowskim i opiekunem, W. Ryżym, przed domem b. administracji.

szkodzi, a dzieciom jazda na tych deskach sprawia nadzwyczajną radość, więc się je bierze ze sobą, a tak aż do najmłodszych odrośli, wszyscy biorą udział w uroczystości „harmanowania“...

Słońce, dopiekając, czyni słomę kruchą, i krzemienie łatwo ją łamią, a następnie ścierają. W ciągu jeżdżenia po zbożu, pomocnicy odwracają je, wypełniają miejsca, które się odsoniły,

stajemy wobec miejsc, które nasiąkły już długowiekową tradycją zła i dobra, a z innym tutaj, gdzie na każdym kroku stwierdzamy dopiero *po czątek*, widzimy nowe, rosnące pokolenia i radujemy się nadzieją ciągłego, swobodnego rozwoju...

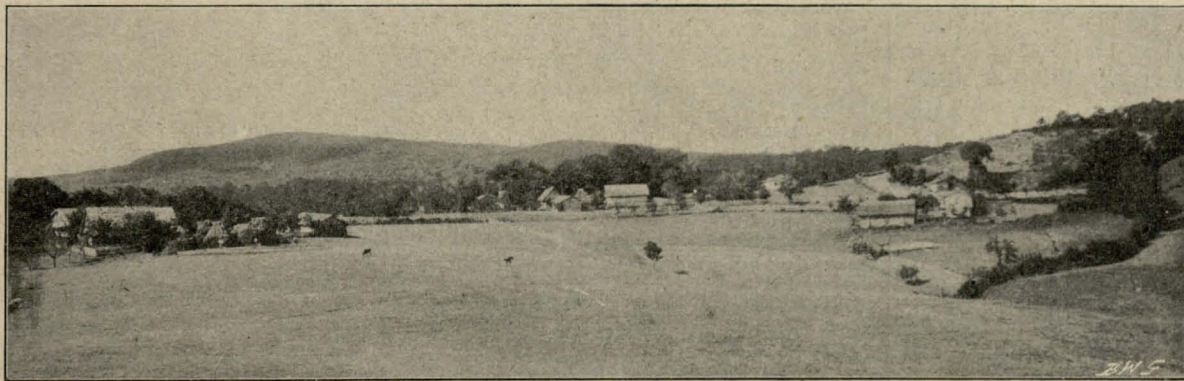
Wracamy znów myślą do Konstantynopola, do nielicznej, pozostałej tu jeszcze garstki Polaków—i przed oczyma staje znowu miejsce, na któ-

rem Mickiewicz pragnął nowy moment wytworzyć, jednoczący rozbiegłe zastępy. Czyżby nie udało się stworzyć tutaj, w domu, na pamiątkę jego wieczną stojącym, ogniska ożywczego dla tej młodej, pełnej sił żywotnych osady?... Adampolanie zjeżdżają co tydzień do miasta w sprawach gospodarczych: gdybyż ich tutaj skupiać, myśl polską w nich pod-

trzymywać i rozszerzać! Przed paru laty podnoszono w prasie warszawskiej projekt urządzenia w domu Mickiewiczowskim szkoły, czytelnicy i biblioteki polskiej. Zdaje się, że przebrzmiało to bez skutku. A jednak prasa nasza i instytucje biblioteczne tutaj niewielką ofiarą przyniosłyby znaczną korzyść.

Mieszkańcy Adampola z innym uczuciem wracaliby do swoich zagród, gdyby obok zdobytych zysków materialnych mogli unieść ze sobą świeże dowody nie gasnącej myśli polskiej i pamięci o nich ze strony tych, którzy żyją i pracują na ojczyźnej ziemi.

DR. AB.



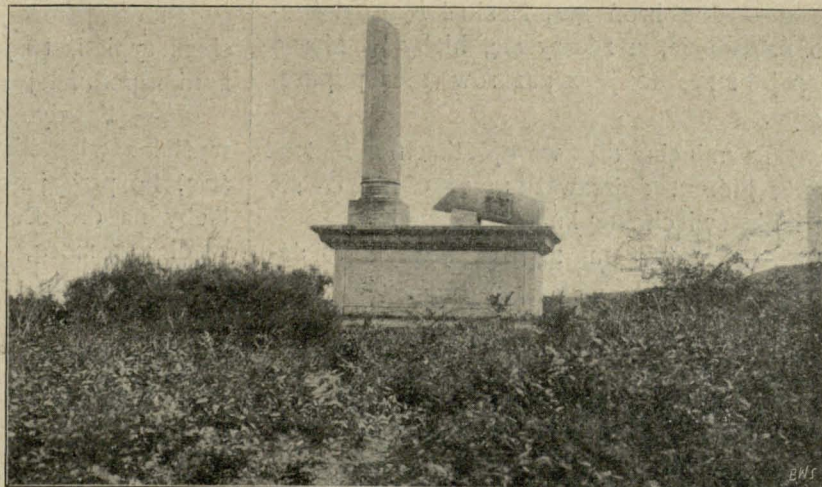
Ogólny widok brzegu Adampola oraz okolicy od strony wjazdu z miasta.

podmiatają i zmniejszają okrąg, w miarę ścieniania się warstwy, po której jeździć należy. Do godziny 3-iej po południu „harman“ jest „wgnany“, to znaczy, że wszystko ziarno jest wykruszone i opadło na spód, a słoma została starta na drobną sieczkę, która tu się nazywa „saman“.

Tym sposobem obok młócki, równocześnie dokonywa się to, co u nas nazywają „rznieniem sieczki“. Następnie zgarnia się i zmiata wszystko na „zachodni“ brzeg klepiska, bo wiatr wieje od wschodu; układa się w półkole, w wał i poddaje się wysianiu. Trzeba to zrobić jeszcze tego sa-



Cmentarz w Adampolu.



Grób Ludwiki Sadyk (Czajkowskiej).

Jeno Szymek się nie śmiał, bo, ułapiwszy Jędrzycha za szyję, całował go, a prawil dobrze już napitym głosem:

— Słuchać me powinienes, pomiarkuj jeno, kto do cię mówi.

— Dyc wiem, juści... jeno matula przykazali—jąkał płacziwie.

— Co tam matula! mnie się posłuch należy, gospodarz jestem, gospodarz.

Muzykanty wyrznęły chodzonego, podniósł się wrzask, rypnęły obcasy, zaskowyczały dyle, zaśpiewały piesneczki, zakręciły się pary, to i Szymek ułapił wpół Nastusię, kapotę rozpuścił, czapę zbakierował, da da na gruchnął i puścił się w taki siarczysty tan, co wnet się wysforował na pierwszego i najgłośniej krzykał, najzapamiętalej bił w podłogę, najostrzej zawracał i toczył się bujnie, wesoło, rozgłośnie, kiej ten potok, nabrany zwiesnową mocą.

Ale kiej przetańcował raz i drugi, dał się kobietom wywieść z karczmy i już galancie przetrzeźwiony siedział z niemi pod chałupą, przylazła też Jagustynka i tak se wraz pogadywali, bo, chociaż późno było i Szymek zbierał się do powrotu, ale było mu jakoś niesporo, ociągał się, zwłóczył, do Nastki się przygarniał i czegoś wdychał, jaże matka rzekła:

— Ostań w stodole, kaj ta będziesz się tłukł po nocy.

— Kiedy pościele ma już tam, w budzie—tłómaczyła Nastusia.

— A to go puść pod swoją pierzynę, Nastuś—ozwała się Jagustynka.

— Co wam też w głowie! Hale, jeszcze czego!—broniła się zesromana.

— Dyc to twój chłop! Że ta ździebko przódzi, nim ksiądz poświęci, nie grzech, a chłopak haruje, kieby wół, to mu się należy nadgroda.

— Święta prawda! Nastuś! Nastuś! — skoczył, kiej wilk, do dziewczyny, przycapił ją kajś w sadzie i, nie popuszczając z garści, całował i skamlał:

— Wygonisz me to, Nastuś? wygonisz, najmilsza, w taką noc.

Matka nalazła se jakąś sprawę w sieni, a Jagustynka rzekła na odchodnem:

— Nie broń mu, Nastuś! Mało dobrego na świecie, a zdarzy się, kieby to ziarno ślepej kurze, to je z pazurów nie popuszczajta.

Rozminęła się w opłotkach z Mateuszem, któren, dojrzawszy przez okno, co się w izbie święci, krzyknął do Szymka:

— Na twojem miejscu jużbym to dawno zrobił!

I, pogwizdując, leciał na wieś szukać uciechy.

Ale nazajutrz o świtanu Szymek stanął na robotę, jak zawdy, i pracował niestrudzenie, tylko, kiedy mu Nastuś przyniesła śniadanie, to łakomiej sięgał jej warg czerwonych, niżli dwojaków.

— A zdradz me ino, to ci łeb wrzątkiem obleję—groziła, wpierając się w niego.

— Mojaś, Nastuś... samaś mi się dała... już cię nie popuszczę—bełkotał gorąco i, zazierając jej w oczy, dodał ciszej—chłopak musi być pierwszy.

— Głupiś! Hale, jakie mu to zberezeństwa we łbie!—odepchnęła go i zapłoniona uciekła, gdyż niedaleczko ukazał się p. Jacek, fajeczkę se kurzył, skrzypki ścisnął pod pachą i, pochwaliwszy Boga, rozpytywał o różności. Szymek rad przechwalał się z tego, co to już dokonał, i z nagła oniemiał i ślepie wybałuszyl, bo p. Jacek skrzypki odłożył, kapotę ściepnął i zabrał się do przerabiania gliny.

Szymek jaże łopatę wypuścił i gębę rozdziawił.

— Czegóż się dziwujesz, hę?

— Jakże? to pan Jacek będą ze mną robili?

— A będę, pomogę ci przy chałupie, myślisz, że nie poradzę? Zobaczysz.

I robili już we dwóch, wprawdzie stary wielkiej mocy nie miał i chłopskiej robocie był niewyczajny, ale miał takie przemyślne sposoby, że praca szła znacznie prędzej i składniej. Juści, co Szymek skwapliwie słuchał go we wszystkim, mrużąc jeno kiej niekiej:

— Loboga, tego jeszcze nie bywało na świecie... Żeby dziedzic...

Pan Jacek jeno się prześmiechał i jął pogadywać o takich różnościach i takie cudeńka prawil o świecie, jaże Szymek dziw mu do nóg nie padł w podzięce a zdumieniu, jeno co nie miał śmiałości, ale wieczorem poleciał rozpowiedzieć o wszystkim Nastusi.

— Mówili, co głupawy, a on ci, kiej ten ksiądz, najmądrzejszy!—zakończył.

— Drugi mądrze powie da i głupio robi! Juści, żeby miał dobry rozum, toby ci może pomagał, co? Albo pasałby weronczyne krowy?

— Prawda, że tego ani sposób wy-miarkować!

— Nic, jeno mu się w głowie popsuło.

— Ale też lepszego człowieka nie należć na świecie.

I był mu niezmiernie wdzięczny za tę dobroć, ale, chociaż razem pracowali, z jednych dwojaków jedli, a pod jednym kożuchem sypiali, to jednak nijakoś mu się było z nim podufalej stowarzyszać.

— Zawdyć to dziedzicowy gatunek — myślał z głębokim uważaniem i wdzięcznością, bo przy jego pomocy chałupina rosła, kieby na drożdżach, zaś kiedy Mateusz przyszedł z pomocą, a Kłębowy Adam nawiózł z boru co było jeno potrza, to buda stanęła taka galanta, jaże ją było widać z Lipiec. Mateusz prawie cały tydzień harował sielnie, drugich poganiając, i kiej skończyli w sobotę po południu, zieloną wiechę zatknął na kominie i poleciał do swojej roboty.

Szymek jeszcze wybielał izbę a uprzął wióry i śmiecie, zaś pan Jacek przybrał się,

skrzypki wziął pod pachę i rzekł ze śmiechem:

— Gniazdko gotowe, nasadz że sobie kokosz...

— Dyc jutro ślub po niesporach — rzucił mu się dziękować.

— Nie robiłem za darmo! Jak mnie ze wsi wypędzą, to przyjdę do ciebie na komorne—fajeczkę zapalił i polazł w stronę lasu.

A Szymek, chociaż wszystko pokończył, łąził jeszcze czegoś, przeciągał strudzone koście i patrzył na chałupę z niespodziewaną uciechą.

— Moja! Juści co moja!—gadał i, jakby nie wierząc oczom, dotykał ścian, obchodził dokoła i zaglądał przez okno, wciągając z lubością skisły zapach wapna i surowej gliny, że dopiero o zmierzchu ruszył do wsi szykować się na jutro.

Juści co już wszystkie wiedziały o ślubie, więc i Dominikowej doniesła któraś ze sąsiadek, ale stara udała, iż nie miarkuje, o czem powiedają.

Zaś nazajutrz w niedzielę już od wczesnego rana Jagusia raz po raz wymykała się z chałupy ze sporymi tobołami, cichaczem, przez ogrody, dygując je do Nastusi, lecz stara, chociaż dobrze czuła, co się wyrabia, nie przeciwiała się niczemu, łąziła jeno milcząca i tak chmurna, co Jędrzych dopiero po sumie ośmielił się do niej przystąpić.

— A to już pódę, matulu! — szepnął, trzymając się zdaleka, ostrożnie.

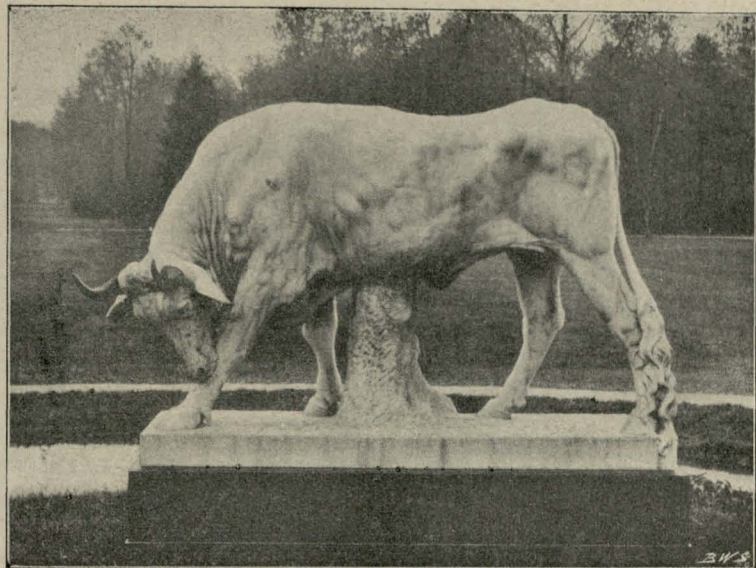
— Koniebyś lepiej wygnał na koniczysko...

— Dzisiaj szymkowe wesele, nie wiecie to...

— Chwała Bogu, co nie twoje! — zaśmiała się urągliwie. — A spij się, to obaczysz, co ci zrobię! — pogroziła ze złością i, kiej chłopak wziął się przybierać odświętanie, powlekła się kajś na wieś.

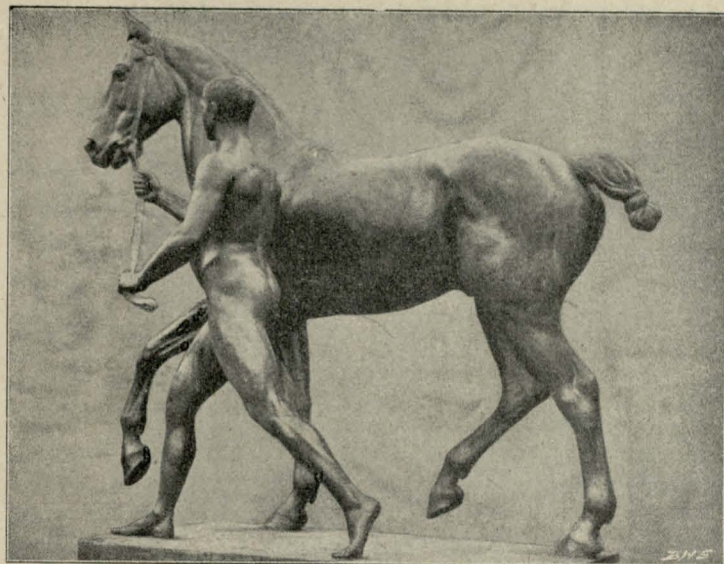
— A spiję się, na złość się spiję! — mamrotał, biegnąc przez wieś do Mateuszowej chałupy, rychtyk już wychodzili do kościoła, jeno że tak cicho, bez śpiewań, bez krzyków i bez muzyki, jakby na pogrzeb jaki, a nie na wesele. Ślub się też odbył całkiem biednie, przy dwóch jeno świecach, że Nastusia rozplakała się rzewliwie, a Szymek bzdyczył się czegoś i hardo, zaczepliwie patrzył w ludzi i po pustym kościele. Szczęściem co na wychodnem z kościoła organista zagrał tak skocznie, jaże nogi zadrygały, i stało się jakoś raźniej i weselej na duszach.

Jaguś zaraz po ślubie wróciła do matki, a jeno później zaglądała niekiedy do weselników, bo Mateusz zagrał na skrzypicy, Pietrek borynów przywtórzył na fleciku, a ktośik srodze przybębniął, że zatańcowali w ciasnej izbie, a poniektóre co ochotniejsze, to prosto przed chałupą, między stodołami, kaj się porozsadzali godownicy, jedząc, przepijając, a gwarząc z cicha, że to nijako było się wydzierać za dnia i po trzeźwemu. (DCN)



Byk

M. Geyger



Tresura konia

L. Tuailon

Zwierzęta w rzeźbie.

Epoki, które wydały własną odrębną rzeźbę, czerpały też obfite motywy form ze świata zwierzęcego.

W starożytnym Babilonie i Egipcie wiele zwierząt symbolizowało siły tajemnicze, bóstwa, czczone przez wiernych wyznawców panujących religii. Stąd odtworzano w rzeźbie egipskiej i babilońskiej postaci zwierząt z wielką ich znajomością, z siłą wyrazu, z dokładnością ich zasadniczych kształtów, a wreszcie w swoim własnym odrębnym stylu. Lwy, byki, szakale, zarówno jak ptaki, w rzeźbach tych żyją bogatym, wspaniałym, a bardzo odrębnym i charakterystycznym życiem.

W rzeźbie greckiej spotykamy znów przepiękne konie.

W okresie grecko-rzymskim stworzono mnóstwo wszelkiego rodzaju świętych zwierząt w rzeźbie, o czym najjaśniej świadczy „sali degli animali” w Watykanie.

Niektórzy krytycy niemieccy srodze narzekają na „kanony artystyczne” Greków i na „pomieszczenie naturalizmu ze śladami klasycznego stylu” w zwierzętach watykańskich. Czyni tak np. w obszernym studium „Współczesna rzeźba zwierzęca” niejaki Fr. Fuchs w *Velhagen u. Klasings Monatshefte*—i twierdzi, że w antykach zwierzęta nie mają samodzielnego życia. Ponieważ jednak tenże krytyk nie podaje, na czym ma polegać różnica pomiędzy „naturalizmem” a chwaloną przezeń „dokładnością odtworzenia muskulatury” dane-



Pracownicy morza

Konstanty Meunier

go zwierzęcia, ani też nie mówi, dlaczego „kanon artystyczny”—czyli styl Greków w traktowaniu zwierząt miałby być niższy od niewątpliwych „kanonów” u Egipcjan i Babilończyków, których rzeźby ceni bardzo wysoko, więc sąd jego należy uznać za proste nieporozumienie.

W dalszym ciągu artykułu tenże autor słusznie podnosi swobodny rozwój rzeźby gotyckiej w drzewie i kamieniu śmiało i nowe zupełnie trak-

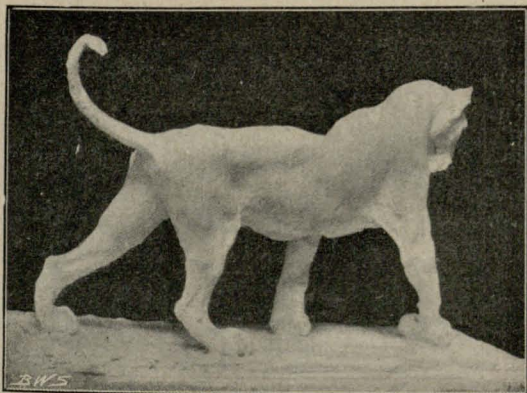
towanie kształtów zwierzęcych w służbie architekturze, w ozdobach np. katedry Notre Dame w Paryżu, i stwierdza późniejszy upadek, bezdusność rzeźb zwierząt w epokach następnych.

Artystą, który pierwszy po zarazie pseudoklasycznej samodzielnie zaczął odtwarzać zwierzęta, był dopiero znakomity rzeźbiarz francuski, Antoine Louis Barye, urodzony r. 1795. Jego tygrysy, krokodyle, lwy mają w sobie całą wściekłość i życie potężnych wolnych istot, całą dzikość ich natur krwiożerczych, a przytem powagę, zwykłą towarzyszkę siły. Stąd wielkie lwy Baryego koło Louvre'u nazywają się w Paryżu popularnie „filozofami”. W numerze niniejszym podajemy

wspaniałego „Lwa i Węża”, ogromną grupę brązową tego artysty. Jest to lew, na którego widok przechodzą dreszcze.

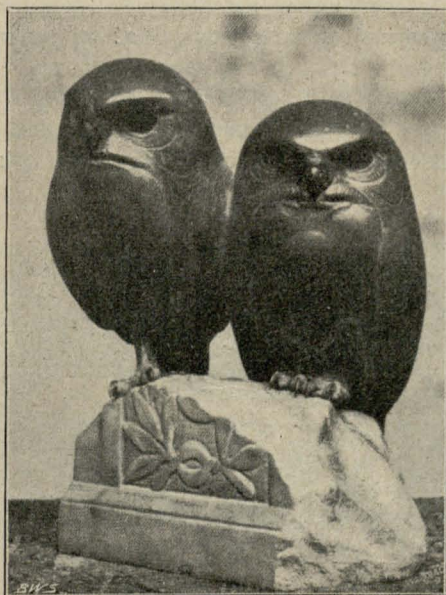
Barye znalazł wielu naśladowców, ci jednak rzadko kiedy tworzą dzieła, któreby można porównać z tworem mistrza. Louis Gardet na przykład nie ma już tej żywiołowej siły w swoich postaciach zwierzęcych. Jego „Tygrysy”, których podobiznę podajemy, są o wiele „grzeczniejsze” od barye'owskich. Już trącą menażeryą.

Również nie stoją na poziomie dzieł znakomitego pioniera w nowożytnej rzeźbie zwierzęcej dzieła Louisa Tuailona. Np. jego koń, prowadzony przez nagiego człowieka, nie ma stylu, a nawet i o jego swobodzie ruchu wieleby się dało powiedzieć (cokolwiek sztucznie wzniesiona tylna noga).



Lwica igrająca

Rembrandt Bugatti



Sowy

A. Gaul



Rzymskie kozy

A. Gaul

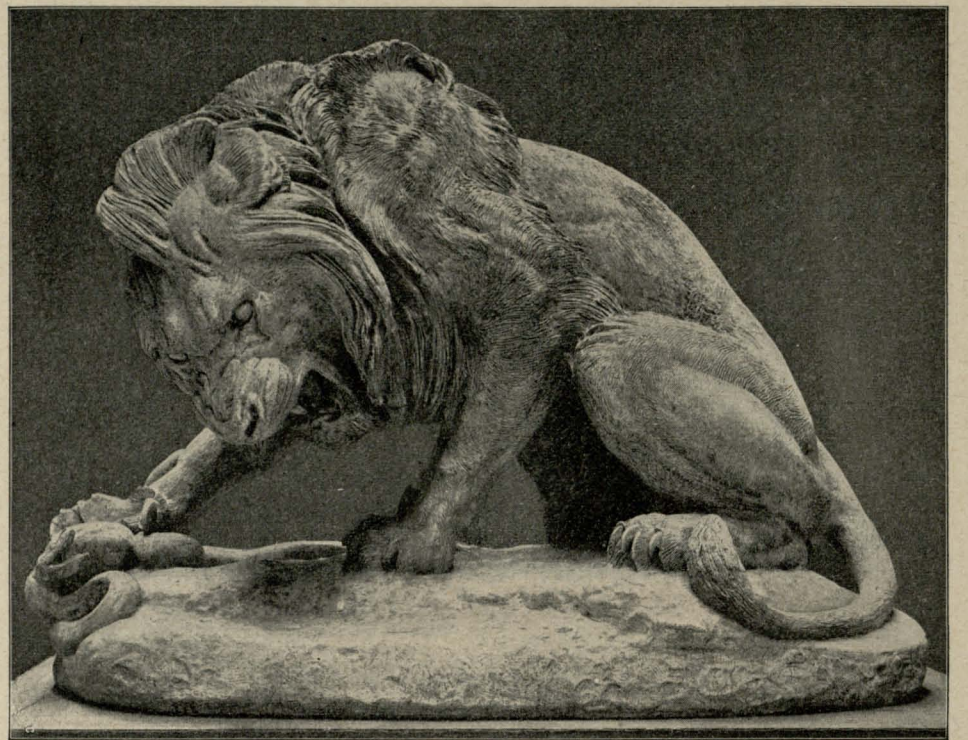


Para tygrysów

Zupełnie za to odrębne stanowisko zajmuje w rzeźbie współczesnej tych kilka zwierząt, które dał wielki potentat sztuki, Konstanty Meunier. Bohaterskość jego postaci, wielka, patetyczna linia, jaką podziwiamy w jego „Górnikach”, znalazła i w jego koniach swój wyraz. Stąd w jego przepysznym płaskorzeźbie: „Robotnicy nad morzem” konie mają taki wielki styl w ujęciu, takie skupienie i siłę przy swobodzie i żywiołowości ruchu, że możnaby je tylko porównać pod względem potęgi ekspresji z rzeźbami starożytności. Konie Meuniera stworzone są zupełnie niezależnie od wszelkich wpływów Baryego. Są to zwierzęta-bohaterowie pracy, zmagający się ze ślepiemi mocami natury. Nie jest to bynajmniej „impresyonizm” w traktowaniu kształtu zwierzęcego, jak przypuszcza Fuchs, ale *styl*. Inna sprawa, że ten styl mógł powstać z głębokiego odczucia natury, a więc z jakiegoś najgłębiej pojętego impresjonizmu.

Inaczej rzeźby księcia Trubeckoj. Artysta rosyjski rzeczywiście impresjonistycznie oddaje swoje bezpośrednie wrażenia z natury. Wprawdzie zwierzęta w jego dziełach najczęściej nie są w ruchu, lecz pozostają w spokoju, ale za to w przedziwny sposób oddano wszelkie właściwości ich kształtu, a nawet połysku i rodzaju sierści.

Rzeźby zwierząt u Niemców mają wszelkie właściwości tego ciężkiego narodu. Chwalone nadmiernie przez krytyka niemieckiego zwierzęta Augusta Gaula zbyt często przypominają menażery, w których je modelowano. Wyjątek stanowią „Kozy rzymskie”, zapewne tworzone z wolnych modeli. Co zaś do byka M. Geygera, to



Lew, szarpiący węża

L. Barye

J. Gardet

jest on niewątpliwie żywym stworzeniem, ale autor wyczuł tę rzeźbę przez barbarzyńską drobiazgowość wykonania, czyli przez „przekończenie”, zmanierowanie kształtu, który prosi się o szerokie, mocne, monumentalne traktowanie.

Podobne przekończenie widzimy również w rzeźbach francuza, Rembrandta-Bugatti; tylko że towarzyszy drobiazgowości tej wykwint i lekkość form, co podziwiać można najlepiej w jego „Jeleniach”.

W ostatnich latach zaczęto z powodzeniem używać kształtów zwierzęcych w tak zw. „sztuce stosowanej”, jako motywów dekoracyjnych. Za sztukę dekoracyjną należy bowiem uważać te porcelanowe figurki zwierząt, które tworzą w Danii, w fabryce królewskiej w Kopenhadze.

Są to motywy pełne wdzięku i życia. Taka na przykład mewa z rozpostartymi skrzydłami, świnki morskie, przytulone do siebie pyszczkami, młode kacząta lub wielki biały niedźwiedź, ryczący, straszny, z wzniesioną w górę otwartą paszczą, z której błyszczą groźne kły, są to rzeczy rzeczywistej sztuki, a podane w mnóstwie świetnych odlewów, ozdobić mogą każdy stół, jako drobiazgi artystyczne.

Jeszcze jeden więc motyw przybywa, aby u i nas znalazło się towarzystwo, któreby miało odwagę włożyć jaki potężny kapitał w przedsiębiorstwo, poświęcone narodowej twórczości w sztuce stosowanej. Jeszcze jedna gałąź tej sztuki stoi dla artystów naszych otworem, a jest nią rzeźba stosowana. Wieluż jest u nas artystów, którym roją się w głowach rozmaite pomysły dekoracyjne, zarówno ozdoby wielkich gmachów, jak dro-

zne bibeloty, o wiele piękniejsze od niemieckiej tandety fajansowej, zalewającej nasze rynki!

Ale wołać o coś pożytecznego w Polsce — to bić głową w ścianę. Wspaniałe powodzenie zarówno w kraju, jak zagranicą, wystaw polskiej sztuki stosowanej, nie doprowadziło dotychczas do stworzenia fabryki swojskich mebli. Cóż więc marzyć o innych gałęziach sztuki dekoracyjnej!

ALFA.

ZDZISŁAW DĘBICKI:

MILCZENIE.

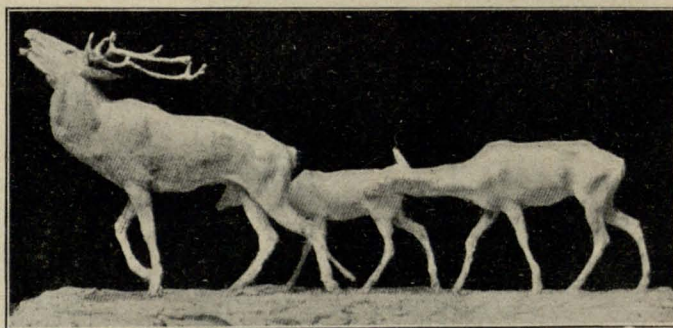
Milczenia-m umiłował niewystawną mowę...
Nikły jest szmer wyrazów...
Najbardziej perłowe,
Dzwoniące, jako srebro, o marmur ciśnięte,
Nie mają tej potęgi, co milczeniem zjęte
Usta...
W największych chwilach, gdy zstępują dusze
W swych głębin niepoznanych tajemnicze gusze,
Gdy myśl w skupieniu staje u swego ołtarza
I z kłamnych swoich obłon dumnie się obnaża,
Szukając swej Istoty w zwierciadle sumienia,
Nikt uczuć huraganu na słowa nie zmienia...

Nikły jest szmer wyrazów...
Ani dla radości
Złotą drogę wesela blaskami wyości,
Ani kirem gościniec Nieszczęściu wyściele,
Ani goryczy serca nie odda tak wiele,
Ile jej każde ludzkie serce rodzi z cicha
W skrwawionych bólem wnętrzach swojego
kielicha—

Jedynie ust milczących niemość i powaga
Powiedzieć mogą o tem, z czym się Dusza zмага,
Jakie gromy w nią biją, nim się znów po burzy
Pozornie jasny płaczeć jej toni wynurzy...

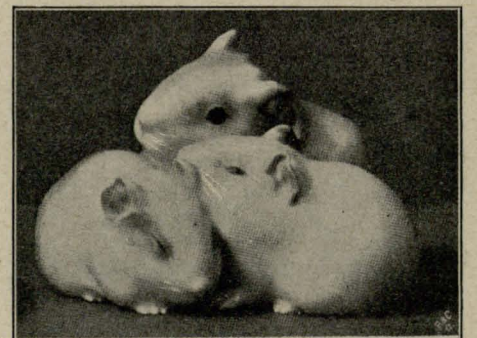


Małpy psotne.



Rodzina jeleni

Rembrandt Bugatti



Świnki morskie.

Przytoczymy ważniejsze ustępy orędzia: przedewszystkiem „edukacja światła“, stare hasło z wieku oświecenia, jest i tu zasada naczelną. „Światło tylko nauki, wniesione pod strzechy wiejskie, może zrodzić poczucie godności osobistej człowieka, zamiłowanie pracy, ono tylko może rozproszyć cienie przesądów i błędów, przełamać zakorzeniony upór i uprzedzenia.“

„Część tylko oświeceniśza narodu z korzyścią i wiadomością pracować może dla dobra kraju; człowieka ciemnego cóż obchodzi? oprócz zaspokojenia potrzeb codziennych ciała nie ma on innych, a obojętnością swą stawia nieprzełamaną zaporę pracom około pomyślności ogólnej.“

Najwięcej sposobności do oświecenia ludu mają ziemianie i duchowieństwo, a jednym z najlepszych środków do tego celu jest rozszerzanie odpowiednich pism pomiędzy ludem.

Jakie powinno być pismo ludowe?—pismo ludowe powinno zawierać „słowo prawdy“, „napisane z uczuciem, zastosowane do pojęcia ludu, upowszechnione drukiem, przystrojone obrazkiem religijnym lub obyczajowym“.

Chcąc umysł ludu oświecać, „należy poczynać od serca“, a przeto redakcja uważa za najpilniejszą rzecz w obecnej chwili podnosić w ludzie wiejskim religijne i moralne uczucia, rozbierać i objaśniać przemianę stosunków rolnych (mowa o toczącej się kwestyi zniesienia pańszczyzny w Królestwie), „usuwać wątpliwości, wiązać miłością chrześcijańską chaty z dworami, wytępić nieufność, walczyć z fałszem i podżeganiem, budować, a nie burzyć, nakoniec obudzać w włościanach miłość kraju i bliźniego, chęć do pracy, zamiłowanie trzeźwości, porządku i oszczędności“.

„Gdziekolwiek zawita *Kmiotek*, wszędzie nieść będzie słowa pokoju, zgody i pociechy, zawsze w Imię Jezusa Chrystusa przemówi z miłością i pobłażaniem, przyjmijcież go z staropolską gościnnością.“

Nie czas tu opowiadać o tem, co i w jakiej formie dawał *Kmiotek* pod redakcją Kaz. Góralczyka, pozwalamy sobie tylko zaznaczyć, że, wbrew zwyczajnym kolejom rzeczy, redakcja dotrzymała tego, co obiecywała w prospekcie. Tych 5 roczników *Kmiotka* to nie prześcignięte do dzisiaj arcydzieło na polu peryodycznego czasopiśmiennictwa ludowego tak treścią, w której redaktor objął całego człowieka, omówił jego fizyczną i duchową stronę, jak i formą, w której dał wzorowy przykład tego, jak należy do ludu przemawiać, ażeby być rozumianym. Z tych pożółkłych kart wieje dzisiaj duch wielkiego umiłowania *kmiotka*, duch szczytnego altruizmu, który pragnął przygarnąć szarą gromadę w ciepłe ramiona i wyrobić w niej silne na duchu i ciele, ekonomicznie niezawisłe jednostki. *Kmiotek* Anczyca to złota księga wielkiej, obywatelskiej, a nierozgłośnej zasługi, to konkretny, zbożny, a cichy czyn filantropa (tego, który kocha ludzi), o którym się

rychło zapomina, choć się o nim zapominać nie godzi.

Jaką miłość i wdzięczność pomiędzy czytelnikami potrafił zaskarbić sobie Kaz. Góralczyk, świadczy o tem następujący epizod. Pewnego dnia zapukała do drzwi gromadka włościan, dopytując się o Góralczyka, co pisze w *Kmiotku*. Przyszli mu podziękować za wszystko pocziwe, czem ich darzy.

Najpiękniejszy dzień w życiu przeżył wtedy Kaz. Góralczyk.

Rozumiemy, że przykro było Góralczkowi rozstawać się z bracią, do której lat szereg przemawiał; w ostatnim numerze żegna się z nią, a w żegnaniu owem łyzy czuć i żal rozłąki:

„Przez pięć lat—pisze—staralem się zaszczyć w sercach waszych miłość Boga i ludzi, uczciwość i chotę, chęć do pracy i do nauki, pogardę próżniactwa i obrzydłej gorzalki, trującej waszą pomyślność... Garnijmy się do nauki, pracy i trzeźwości ze wszystkich sił i nie dajmy się wyprzedzić żadnemu narodowi. Niech próżniactwo, ciemnota i pijaństwo będą wyplenione z pośród nas, jak nieużyteczny chwast z ogrodu, a niechaj zakwitnie pomyślność i szczęście.“ A zebrawszy wszystko, co był przez te 5 lat w *Kmiotku* powiedział, w dziesięciorko jakoby przykazań włościańskich, które powinny się znaleźć w każdej izbie chłopskiej, przybite na ścianie obok świętych obrazów, tak żegna gromadkę: „A teraz bywajcie zdrowi, najmilsi braciszkanie, ze łzami i ściśnionem sercem żegnam się z wami. Niech was Bóg ma w swojej opiece, niech wam błogostawi na dzieciach i dobytku, niech wszystkie szczęście zleje na wasze głowy, oświeci rozum i pomyślność waszą ustali. Bywajcie zdrowi, najukochańsi bracia włościanie, a zostawcie choć mały zakątek w sercach waszych dla waszego brata i przyjaciela do śmierci.“

Takie były ostatnie słowa Kazimierza Góralczyka.

* * *

Tyrteusz

Arytomenes w świątyni Athony.

W powietrzu miasta, pulchawo i bopowiewały

Zawiat nocą. — Bawoi śród Murny.

Szalonej poptoch powstaje śród spary.

Z murów, co dołód ni zarzwały twoge.

Sromotny przetrach dawne myzłwojtojny.

Uchodra, wilydem probanbione bogi.

Arytomenes wathonia, pusłony.

O. w serce miasta, saka obrnykły swyżysaku,

A tam jiki — rozpauc’

ustaty sgrynpła

Wojemaj mtodri: wuzi bilyski i bilyski.

A z miodol obawera miodrijas nie blyzka.

Bny wopielnyjn dolo miki głoimie ni gwarus.

Wo strach miewoli, usła lodem i siana.

Idytko radow, i radow, wiazg slany

Autograf „Tyrteusza“.

Kmiotek styka się na punkcie intelektualnej prostoty z dzieckiem; to daje łatwe tłumaczenie, że ten, który umie przemawiać do dużego dziecka w siermiędze, potrafi łatwo znaleźć drogę do serca rosnącego pokolenia. Tę drogę znał Wł. Anczyk przewybornie. Z redakcyi *Kmiotka* przeszedł bezpośrednio do redakcyi *Przyjaciela Dzieci*, pisma tygodniowego, nauce i rozrywce młodzieży poświęconego, które podpisywał od maja 1865 roku do 1 kwietnia 1867 roku. Artykuły, ogłoszone w *Przyjacielu Dzieci*, zebrane razem, utworzyłyby spory tomik, znalazłyby się w nim artykuły dydaktyczne, więc życiorysy swoich i obcych: Kromera i Karnkowskiego, Mahometa, Archimedes, Hannibala; opowiadania historyczne o upadku cesarstwa Bizantyńskiego, zdobyciu Wejów, wojnie Rzymian z Pyrrusem, uroczystości tryumfu w Rzymie, drugiej wojnie fenickiej, upadku Maurów w Hiszpanii, i gawędy z nauk przyrodniczych: o trzęsieniach ziemi, o wulkanach, o królestwie pszczoł, mrówek i termitów, i opisy wycieczek po kraju, i opowiadania szkolne, i na wzór „Lnu“ Andersena opowiedziane „Pamiętniki zapalki, przez nią samą spisane“.

A nadewszystko bajeczek i powiastek wierszem bez liku, że ich ani wyliczyć sposób. Trzeba przeglądać niezliczoną masę powinszowań rymowanych, jakie Anczyk pisywał dla każdego z licznych członków swojej kochanej „hołotki“, jak dzieci nazywał, ażeby zobaczyć, jak umiał utożsamiać się z dwuletnim Stasiem lub 8-letnią Władzią i podszeptać rymy, które każde z nich za swoje uznać musiało, takie były proste i szczerze dziecięce.

Któż nie zna powiastki o „Odważnym Cesium“, który z tak zuchwałą miną woła: „Jedziem na wieś, na wieś, Stachu, na wieś!“ — skacząc woła Ceś; nie wszyscy jednak wiemy, że powiastkę tę, deklamowaną dziś zacięciem przez szerokie koła najmłodszych Aryjczyków, po raz pierwszy wydrukował warszawski *Przyjaciel Dzieci* w 1866 roku (s. 89, 96 i 104), a rysunkami ozdobił nieśmiertelny Kostrzewski.

Na bliższą uwagę zasługują bajki, przeważnie nie oryginalne, przekłady Lafontaine’a („Dwaj podróżni i ostryga“, „Skąpiec i małpa“), lub Fedra („Wilk i zóraw“, „Starzec i śmierć“, „Wilk, matka i dziecię“), ale przekłady znakomite, nadające zmianom w treści odpowiedni wyraz, ciągle zmiennej, rytmicznej akcentuacji, jak to kiedyś po mistrzowsku umiał oddawać Krasicki, którym przyjaciel dzieci już wtedy zachwycał się, kiedy ledwie z trudem sylabizować potrafił.

Z oryginalnych zacytuję bajkę-satyrę, nie tyle może przeznaczoną dla dorastającej, ile już dla zupełnie dorosłej młodzieży. Wierszyk nosi tytuł „Chłopczyk i wół“, znaleźć go można w roczniku *Przyjaciela Dzieci* za rok 1866 na str. 372.

Posłuchajmy. Chłopczyk zapytuje:

O czem myślisz, mój ty wole,
Że tak mądrą minkę masz,

Czy chcesz dzieci uczyć w szko'le,
Jak profesor nasz?
— Ej, ja myślę, mały zuchu
Nie o książkach, lecz o brzuchu,
Czyżbym mózgu miał troszeczkę,
Bym nad książką życie wiódł?
Żuć ja wolę sianko, sieczkę,
Przy nauce wnetbym schudł.

Tego pana poznalibyśmy, choćby go dodana rycina nie przedstawiła, jako dwurożne „bydlę“ o wydatnym brzuchu, pięknie skrojonym tużurku, a wolim pysku.

Równocześnie przychodziły osobne wydawnictwa *Przyjaciela Dzieci*. Więc „Elementarze dla dzieci polskich“, „Małe zbiorki dla tych, którzy już gładko czytają“—dla dorastających, „Historia polska, przez pytania i odpowiedzi ułożona“, z gorącą i serdeczną przemową do tych, w których nadzieja, zadatek przyszłości, im poświęcona, „I sięga najpamiętniejszych odkryć geograficznych“, oraz „Opisy i przygody z podróży po różnych częściach świata“.

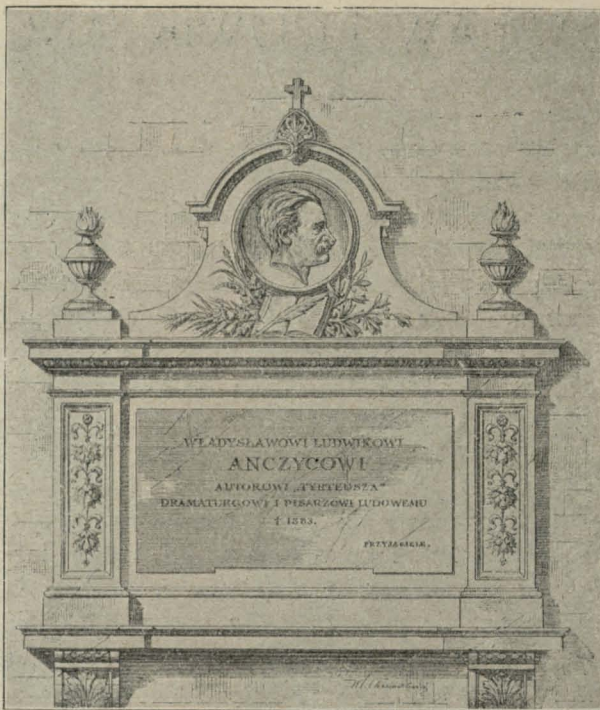
A wreszcie opracowanie Robinsona Kruzo, najlepsza dotąd polska przeróbka nieśmiertelnego dzieła Defoego. Robinsonem zachwycał się, jako dziecko, dorósłszy, uważał go za najlepszą książkę dla młodzieży, ponieważ autor, jak objaśnia w przedmowie, „z ludzkiem prawdopodobieństwem opowiada przygody nieszczęśliwego rozbitka, lecz zarazem ukrywa zrećnie zacząć dążność obudzenia zamiłowania pracy i uczciwości, nie grzesząc wcale przeładowaniem morałami, jakimi często niezgrabni autorowie zniechęcają do czytania młode umysły, nie osiągając wcale zamierzonego celu“.

W opracowaniu swoim sprostował Anczyc przyrodnicze i geograficzne błędy, popełnione przez Defoego, i starał się połączyć plastykę opisu Defoego z pedagogicznymi celami tłumaczyń niemieckich.

Kaz. Góralczyk i „przyjaciel dzieci“ działali wspólnie dla społecznego dobra, a istotnym motorem ich pracy była pozytywna, w czynie się wypowiedzająca, miłość kraju i narodu. Obaj zrozumieli jasno niesłychaną ważność pracy w tych dwu kierunkach, a prowadząc ją wytrwale, z wielką znajomością celu i środków, godni są jak najżywszej pamięci w sercach tych, którzy po nich przyszli.

Szkicując charakterystykę twórczości autora „Emigracji chłopskiej“, najtrudniej połączyć jego działalność na polu piśmiennictwa dla kmiotków i dzieci z tyrtejskimi latami.

Skąd, na podłożu ramotek, bez pretensyi, po prostu kreślonych opisów historycznych miejsc i zabytków, rymowanych i nie rymowanych, wolnych żartów zrodziła się prometejska pieśń o śpiewaku Tyrteuszu? skąd pióro, zaprawne do kreślenia pogodnych obrazków ludowych, popularnych pouczań gromady przez usta Kaz. Góralczyka nabrało naraz Konradowej mocy i na szarem i płytkim tle ogólnego obniżenia lotów buchnęło pieśnią, w której jest i siła, i dzielność i nieśmiertelność, zahuczało huraganem, który dał ongi na wyżynach wielkiej



Tablica pamiątkowa Władysława Anczyca, w kościele św. Salwatora na Zwierzyńcu pod Krakowem.

romantyki około głowy Farysowego rumaka? To już chyba pozostanie zagadką twórczego ducha, który lubi kroczyć czasem po drogach, żadnym krytycznym miernikiem wykreślić się nie dających. Ani w dorobku literackim Wł. Anczyca po rok 1861 zgoła nie zapowiadało się na gigantyczny rozmach pieśni o potędze, ani powiązać ją ze splaszczaniem myśli w reakcyjnej dobie pod hasłem powieściarstwa.

Fakt, że Anczyc pisał dla encyklopedyi Orgelbranda artykuł o dziejach Grecyi, dostarcza jedynie wskazówki, iż w owym czasie ojczyzna Tyrteusza zajmowała umysł poety.

Czytając o dziejach II-ej wojny messenjskiej, oczarowany być musiał przepiękną legendą o Tyrteuszu. Spartanie, pokonani kilkakrotnie przez messenjskiego wodza, Arystomenesa, który nawet zdołał tajemnie dotrzeć do Sparty i na wrótach świątyni Ateny zawiesić, jakby na urągawisko, zdobyczną tarczę z napisem: „Arystomenes, zabrawszy wielką zdobycz Spartanom, poświęca tę zdobycz bogini Atenie“, udają się do wyroczni delfickiej z prośbą o pomoc.

Kapłanka wieszczu, że ocalenie Sparty w ręku Aten. Ale Ateńscy, odwieczną ku Sparcie powodowani zawiścią, cieszą się z pogwałcenia rywalki i w miejsce odsiecznych hufców posyłają Sparcie śpiewaka Tyrteusza, twórcę pieśni elegijnych i bojowych. Tyrteusz pieśnią pobudza obumarłą odwagę Spartan i wiedzie ich w zwycięski bój na wroga. Dla harmonijnego zakończenia poematu kazał poeta poledz swojemu bohaterowi: ciało „ateńskiego wieszca“, spowite w laury i złożone na tarczach, wnoszą spartańscy bojownicy przy odgłosie surmy bojowej.

Zajęcie się poety starożytnością helleniską jest bardzo mało dostatecznym objaśnieniem genezy poematu: skutek w swoim ogromie nie odpowiada przyczynie. W jaki sposób poeta, który dotąd nie zdradzał zgoła zdolności do prometejskich wzlotów, potrafił przejść się potężnym symbolem legen-

dy o Tyrteuszu, znalazł w sobie dość twórczego rozmachu dla wspaniałej koncepcyi pieśni o czynie, o potędze słowa, o poezyi, co głązy porusza i w istotnym znaczeniu—*tworzy* (ποίησις)?

Tajemnice to tej wyjątkowej organizacji twórczej, jej proteuszowej własności, która pod zewnętrzną twarzą zasłużonego pisarza dla ludu i młodzieży tai inne, zgoła różne oblicze, oczy, marzące o wielkiej pieśni nad pieśniami, którym życie twarde zbyt prędko zbladnąć i zgasnąć nakazało.

„Tyrteusz“ nie jest odosobnionem zjawiskiem w spuściźnie literackiej Władysława Anczyca. W bogatych materiałach rękopiśmiennych, pozostających w posiadaniu rodziny, odnajdujemy inne, nieznanne utwory, na tyrtejską miarę zakrojone. Jest z wielkim rozmachem skreślony poemat o pokrewnych ideach, p. t. „Uczta wyzwoleńca“, jest wiele nieznanych drobnych wierszy i fragmentów, wyłania się z nich dokładniej druga twarz pisarza, która na tle publikowanych utworów autora „Tyrteusza“ patrzy na nas z zagadkowym wyrazem sfinansa. W przygotowującym się wydawnictwie pism Władysława Anczyca ujrzemy autora „Chłopów arystokratów“ w nowem i pełnem oświeceniu. Na podstawie ogłoszonych po raz pierwszy materiałów będzie można ocenić ogromną wielostronność pisarską, różnorodność kierunków twórczych i nie tylko ich społeczną wartość, ale i kwalitatywny stopień estetycznej miary.

JESIENIĄ.

Strop nieba ciężki, szary, mętny,
Pólnagich drzew zdrętwiały tłum,
Dokoła—martwy, obojętny
Jesiennych liści szelest, szum.

Targany wiatrem lot ich chwiejny
Ku ziemi mknie z podniebnych sfer,
I wszystko splywa w beznadziejny
Jesiennych liści suchy szmer.

Kraczących stado wron się waży,
Hen nad prastary wzbite tum,
Rzuca swą zimną pieśń grabarzy
W jesiennych liści szelest, szum.

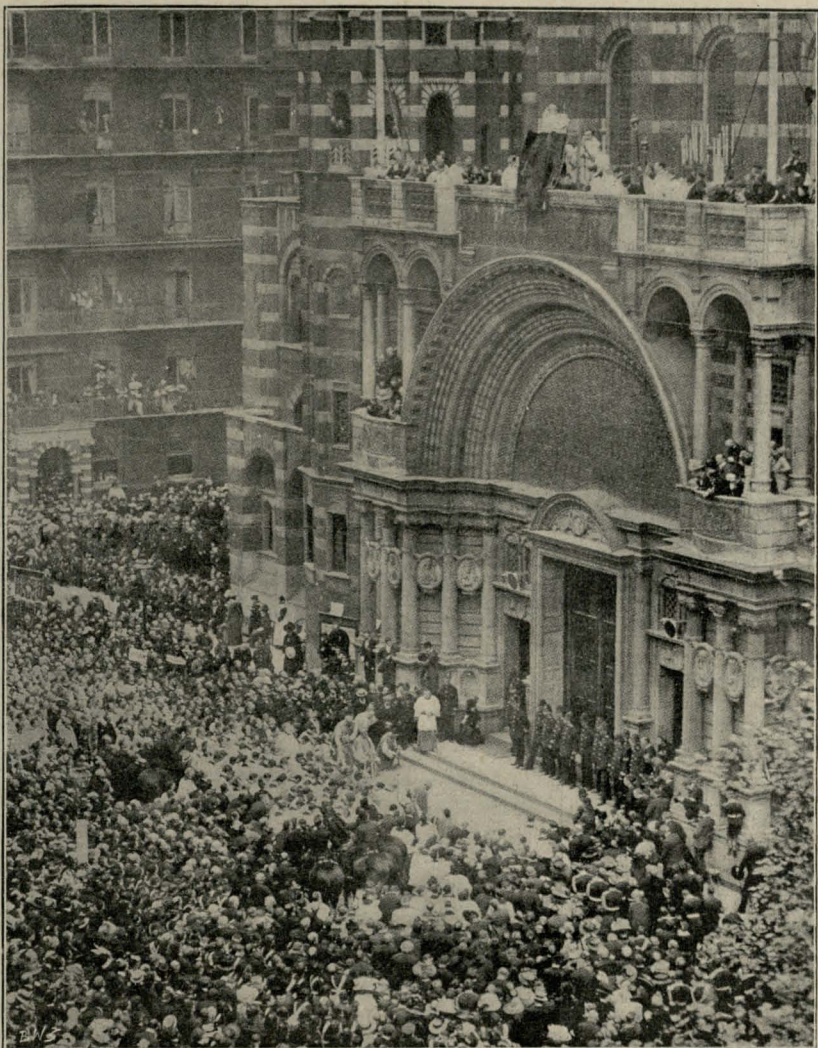
Wśród chmur, rozdartych krwawą raną,
Goreje niebo. Z łun i skier
Rój mar mi drogą zapomnianą
Przez suchych liści idzie szmer.

Mar, których już nie pomnę twarzy,
Widm purpurowych, mglistych dum,
Upojeń, wzlotów, snów, miraży,
Idzie przez liści szelest, szum.

Lecz nim w kształt żywy myśl się streści,
Już krucze szpony wtapia w żer,
W serce, gdzie w głębi mi szeleści
Jesiennych liści suchy szmer.

Aż pierzcha wszystko. Monotonny
Głos podpowiada: *Pulvis sum...*
Nie, nic już niema—tylko płonny
Jesiennych liści szelest, szum.

M. M. POZNAŃSKI.



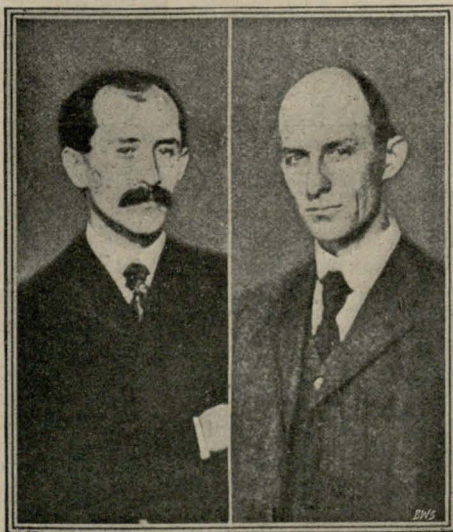
Kongres eucharystyczny w Londynie. Legat papieski, kardynał Vanutelli, błogosławi wiernych z balkonu opactwa westminsterskiego.

Kongres eucharystyczny w Londynie.

Po raz pierwszy od roku 1554, to jest od epoki angielskiej kontrreformacji, legat papieski stanął na ziemi angielskiej, przybywając na kongres eucharystyczny do Londynu. Jest to widomy znak zmiany usposobienia wobec Kościoła katolickiego nie tylko ludności, lecz i państwa angielskiego, gdzie do niedawna rozbrzmiewały jeszcze okrzyki „No-Popery”. Legat kuryi rzymskiej, kardynał Vincenzo Vanutelli, przyjmowany był z wielkimi honorami przez króla Edwarda. Kulminacyjnym momentem uroczystości była przemowa w katedrze Westminsterskiej wobec 15,000 wiernych.

Z dziedziny aeronautyki.

Pomimo katastrofy balonu hr. Zeppelina, rekordy aeronautyczne gorączkowo rozpoczęły się we wszystkich niemal większych mocarstwach, a druty telegraficzne z szybkością błyskawicy obnosiły wieści o mniej lub więcej udanych próbach. Aż oto w dniu 9 b. m.



Orville i Wilbur Wrightowie.

rozeszła się po świecie znamienna wieść o zwycięskim wzlocie Orville'a Wrighta, który zupełnie szczęśliwie szybował w powietrzu przez 4 godz. 5 min. i 42 sekundy, wznosząc się na 200 i 250 stóp wysokości z szybkością 36 i pół mil angielskich w godzinę.

„Jesteśmy świadkami najcudowniejszego zwycięstwa naukowego w dziejach świata. Szczęśliwy jestem, że dożył tej chwili!”—wołał w zachwycie major Seguer, naczelnik aeronautów wojskowych w Waszyngtonie.

Gdy rozniosła się wieść, że Wright buja w powietrzu, niezliczone tłumy pobiegły na plac ćwiczeń wojskowych, z gorączkowym natężeniem śledząc wstrząśnienia i podskoki aeroplanu. Od czasu do czasu widziano, jak aeronauta badał drobniawo motor, we wszystkich jego ruchach znać było jednak pewność siebie i automatyczne kierowanie maszyną,

tak jak u cyklisty, automatycznie utrzymującego równowagę na bicyklu. Raz nawet, żartując, Wright posunął się wprost na tłum widzów, którzy rozpięchli się przerażeni...

W dniu tym Ameryka święciła prawdziwy tryumf!

A jednak? W ostatecznym wyniku pomyślenie przeprowadzonych prób i aeroplan Wrighta spotkała katastrofa, o której depesze z Nowego Yorku doniosły następujące szczegóły.

Orville Wright wznosił się w powietrze o godzinie 6 popołudniu wobec tysięcznych tłumów, które zebrały się na placu ćwiczeń pod fortem Meyer. Towarzyszył mu porucznik wojsk amerykańskich, Seldridge. Naraz rozległ się w powietrzu najpierw trzask i świst, a potem okrzyki Wrighta i jego towarzysza. Sterownicza prawa śruba aeroplanu oderwała się i runęła na dół. Aeroplan wywrócił w powietrzu koziółka i z przerażającą szybkością zaczął spadać na ziemię. Obaj żeglarze powietrzni odnieśli ciężkie rany w skutek gwałtownego upadku. Porucznik Seldridge zmarł już, a Wright leży ciężko chory.

Pomimo jednak tej nieoczekiwanej i nowej katastrofy z aeroplanem, omal że nie zwycięskim, dziś już bez przesady można żywić nadzieję, że wiek XX będzie epoką ostatecznego podboju atmosfery.

Zgon przyjaciela Polaków.

W Rzymie zmarł niedawno Tancredo Canonico, prezes senatu włoskiego.

Ogólny żal wzbudziła śmierć tego człowieka godnego i czystego, wiernego zawsze przyjaciela Polaków od lat młodych, gdy zetknął się w Turynie z Andrzejem Towiańskim, aż do ostatnich chwil zasłużonego swojego życia. Canonico był towiańczykiem, a w szeregu niepospolitych adeptów, których „mistrz Andrzej” zjednał dla „sprawy”, ten należał niezawodnie do najniepospolitszych. Towiańczykiem był czynnym i wiernym. Należał do grona uczniów, którzy wydali „Zbiór prac” Towiańskiego w Turynie po polsku, stanowiący dziś rzadkość bibliograficzną, i pisał o Towianizmie rów-



Orville Wright, unoszący się w powietrzu, na swej maszynie, z którą uległ katastrofie w dniu 16 b. m.

niez po włosku. Posiadając znajomość spraw polskich, należał zawsze do bardzo wymownych i chętnie słuchanych obrońców narodu polskiego.

Jeszcze przed dziewięciu laty, gdy w roku 1889 grono studentów uniwersytetu lwowskiego, przesyłając mu wyrazy czci i hołdu, zwróciło się doń z prośbą o garstkę osobistych wspomnień o Mickiewiczu i Towiańskim, starzec z powodu podeszłego wieku nie mógł już tego uczynić, lecz nakreślił natomiast pod adresem młodzieży polskiej następujące szczere i z pod szlachetnego serca płynące wyrazy:

— Zawsze żywo interesując się Polską, czuję prawdziwą rozkosz, gdy widzę Polaków, rozwiniętych

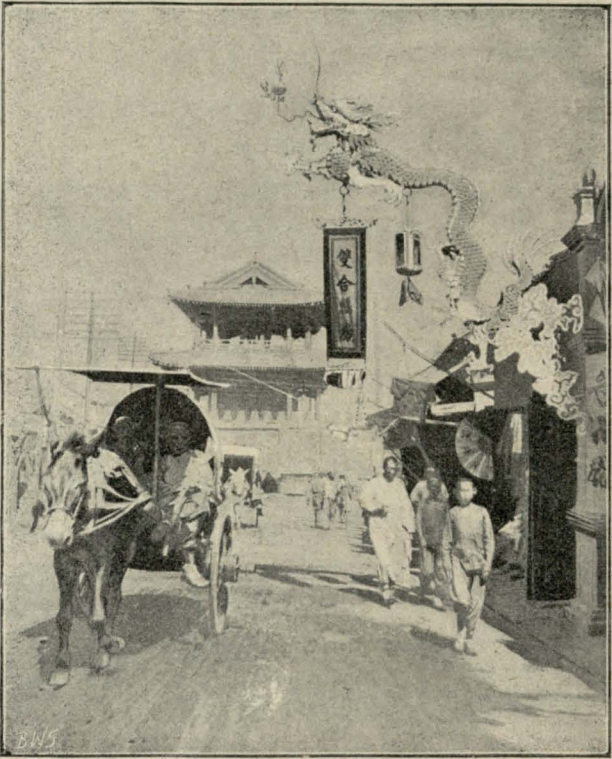
umysłowo i uczuciowo, którzy pracują nad młodzieżą swego własnego kraju, aby otrząsnąć ją z apatii i obojętności i zapalić nowo ten ogień, który jest istotną cechą każdego Polaka i najkorzystniejszą z częścią polskiego skarbu narodowego. Z niego bowiem ma powstać przyszła Polska i naród, przeznaczony do podniesienia starej Europy i pchnięcia jej na drogę, prowadzącą do najwyższych celów. To też



Tancredo Canonico.

wiadomość, którą mi przysyłacie, wywołała we mnie silne i miłe wzruszenie. Z całego serca zaszyłam wam życzenia i całą duszą łączę się z waszemi szlachetnymi usiłowaniami.

We Włoszech Tancredo Canonico zażywał również ogólnej czci i poważania, jako najpopularniejsza i najgodniejsza postać współczesnego obywatela.



Smok wschodu.

Europeizacja Chin.

„Czy znacie krainę, w której róże bez woni się rodzą, kobiety spódnice nie noszą, robotnicy poniedziałków nie święcą, urzędnicy o obowiązkach i poczuciu honoru wyobrażenia nawet nie mają; gdzie na drogach publicznych wozów nie zobaczysz, a okręty bez tramów się robią; gdzie igła magnesowa ku południu się zawraca, a ludzie, w chwili zakłopotania, nie w głowach, lecz po nogach się drapią; gdzie lewa strona jest zaszczytna, a rozum w żołądku funkcjonuje; gdzie zdjęcie kapelusza ubliżającym jest ruchem, a kolor biały żałobą; gdzie mężczyźni warkocze noszą, a ćwierćłokciowe paznokcie piękniejszą od brylantów ozdobę stanowią; gdzie częścią ciała ludzkiego, specjalnie do odbierania plag przeznaczoną, jest pięta, a narzędziem kary — kij bambusowy, i do wielkich nawet świata tego stosowany; gdzie rewolucje nie burzą starej budowy, lecz ją z nowego tynku oczyszczają; gdzie naród żadnych nie zna stanów, a do wielkich godności otwiera drogę nie krew błękitna lub protekcja, lecz uczoność; gdzie całe życie idącego po szczeblach hierarchii państwowej dostojnika jest jednym pasmem... egzaminów; gdzie najmniej poetyczny naród w świecie jest największym poezji czcicielem; gdzie literatura istnieje bez

abecadła, a język bez deklinacji i koniugacji?...”

Na krańcach Wschodu istnieje rasa ludzi, którą do ostatnich momentów tak charakteryzowało wano, początek jednak wieku XX, zaznaczający się, jako epoka, kiedy 800 milionów ludzi wchodzi w sferę ogólnoludzkiej kultury i cywilizacji, i na



Chinka z Tien-Tsinu.

niej wyryl znamienne swoje piętno, wprowadzając dotychczasowe życie na nowe zupełnie tory. Coraz szybsze budzenie się Wschodu po Turcji i Persyi ogarnęło obecnie kolosa i sinksa razem, jakim oddawna stało się czterystumilionowe państwo niebieskie.

Usiłowanie wprowadzenia do Chin europejskiej cywilizacji datuje się, co prawda, nie od najnowszych

czasów, lecz dopiero od drugiej połowy XIX-go wieku staje się skutecznym i trwałem. Oprócz czynników zewnętrznych, niemałą rolę odgrywać też zaczyna coraz dalej idące zabiegi reformatorskie wewnątrz kraju, które w rezultacie swoim doprowadzają do tego, iż rząd bogdychana w r. 1906 ogłasza manifest, uroczystie zapowiadający stopniowe zaprowadzenie konstytucji.

Władze jednak do ostatniej chwili niezbyt śpieszyły się z reformami, natomiast w szerokich sferach ludności zniecierpliwienie coraz bardziej wzrastało, aż wreszcie doszło do tego, iż przed kilku miesiącami przybyła do Pekinu delegacja od wszystkich prowincji cesarstwa, żądając natychmiastowego zaprowadzenia konstytucji i grożąc wybuchem krwawej rewolucji i zrzućcenia dynastji. To też błędem zupełnie jest mniemanie, iż wobec ogólnego poruszenia na Wschodzie w jednym tylko Chinach panuje zastój i martwota.

Zupełnie przeczy temu młody Chińczyk, dr. Ma-Do-Yün, pierwszy z synów państwa niebieskiego, który uzyskał w uniwersytecie berlińskim stopień doktora praw. Ogłosił on niedawno w języku niemieckim bardzo interesujący artykuł p. t. „Przyszłość Chin“, omawiający współczesną sytuację społeczną i polityczną. Okazuje się, iż w ostatnich dziesięciu latach założono w całym kraju mnóstwo szkół elementarnych, w główniejszych miastach powstają akademie i uniwersytety, rząd wysłał młodzież na studia zagranicę, rozszerza sieć kolei żelaznych, zaprowadza liczne reformy w dziedzinie sądownictwa i administracji, oraz gruntownie reorganizuje armję.

„Powstaje w Chinach wiele dobrego — tak kończy swój artykuł zeuropeizowany Chińczyk — lecz my, młodochińczycy, jesteśmy świadomi, iż rząd jeszcze bardziej musi słuchać naszego głosu, domagającego się gruntownego przeobrażenia państwa w duchu nowożytnym. W naszej zewnętrznej i wewnętrznej polityce nie możemy uczynić nic lepszego, jak naśladować Japonię“.

Jednym słowem, jak najspieszniejsze zeuropeizowanie Chin stało się dziś najżywotniejszym hasłem współczesnej ludności państwa niebieskiego. A jeśli to nastąpi, w co dziś już prawie wątpić nie można, to wówczas tak oddawna przepowiadane „żółte niebezpieczeństwo“ wistocie zagrożić może Europie, gdyż naród tak zasobny w środki produkcji, tak oszczędny i poprzestający na małym, jak Chińczycy, łatwo stać się może zwycięskim rywalem handlu zachodniego.

I czyż nie szczególniejszą byłaby ironia losu, gdyby Europa, tak usilnie zdążająca do zwalenia „muru chińskiego“, zmuszona była wkrótce do sypania wałów ochronnych i wzniesienia murów w obliczu odradzającego się groźnego przeciwnika?...

Jubileusz Arcypasterza.

Dostojny arcybiskup warszawski, ks. Wincenty Chościak Popiel, w dniu 20 września obchodził 25-lecie swych rządów na stolicy arcybiskupstwa warszawskiego.

Nie tylko duchowieństwo całego kraju, lecz i ludzie świeccy, temi samymi uczuciami ożywieni, postanowili złożyć mu swoje życzenia. Z inicjatywy Feliksa hr. Czackiego powstał komitet, złożony z przedstawicieli różnych sfer naszego społeczeństwa, który postanowił, aby po uroczystym nabożeństwie w kościele archikatedralnym wręczyć Jego Ekscelencji w pałacu odpowiednio zredagowany adres.



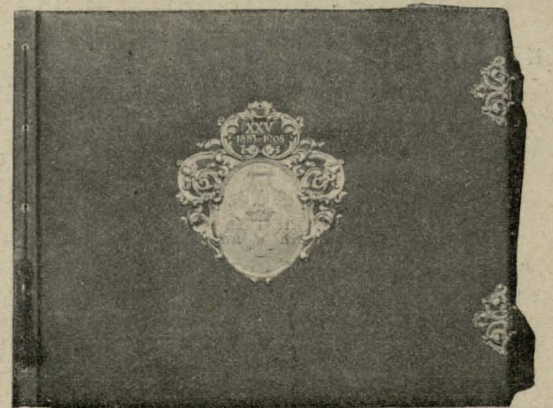
Adres jubileuszowy, wręczony J. E. Arcybiskupowi warszawskiemu d. 20. b. m.

— A wznosząc modły do Najwyższego o zesłanie na Ciebie łaski i błogostawieństwa, o użyczenie Ci na mnogie lata sił i zdrowia do dalszej pracy, z głębi serca wołamy:

za dwudziestopięcioletnie duszpasterstwo wiernych Twej archidiecezyi;

za przodownictwo w podźwignięciu i wznoszeniu licznych Świątyń Pańskich;

za przywiązanie do pamiątek i zabytków narodowych, za dbałość o ich zachowanie;



Tekka adresu jubileuszowego.

za wyrzeczenie się dla potrzeb duchowych swej owczarni dóbr doczesnych;

za umiłowanie maluczkich i ubogich duchem; za nieustanną troskę o wychowanie moralne i religijne ludu polskiego;

za trudy, udrczenia i bóle, które wypełniały życie Twoje—cześć Ci, Czcigodny i Dostojny nasz Arcypasterzu!—

Temi słowy kończy się adres jubileuszowy, doręczony arcybiskupowi w pałacu arcybiskupim przy ulicy Miodowej. Ma on formę ozdobnego albumu, składającego się z 44-ch oddzielnych arkuszy, zaopatrzonych w kilkanaście tysięcy podpisów.

P. Stefan Gorski, sekretarz naszego „Tygodnika“, autor broszury o „Niemcach w Królestwie Polskim“, zakłada własny dziennik, mający z dniem 1-go grudnia r. b. wychodzić w Warszawie codziennie.

W p. Gorskim tracimy życzliwego współpracownika, nie tracimy wszakże przyjaciela i nie wątpimy, że przyszły redaktor „Dnia“ na nowym, tak odpowiedzialnym posterunku zyska to samo uznanie, jakim się cieszyła jego działalność w „Tygodniku“.

WIECZORY TEATRALNE.

Wystawiona na scenie Teatru Letniego trzyaktowa sztuka pp. Savoir'a i Noziere'a: „Chrzest”. — Czteroaktowa sztuka Maryi Federowiczowej: „Na przepadle” w Teatrze Małym. — Dymisyja Dyrektora zarządzającego Filharmonii i Opery, p. Aleksandra Rajchmana.

Alfred Savoir podobno wcale nie istnieje. Pseudonim to ma być nawet nie rodowitego Francuza, lecz...

Nic a nic mnie to nie obchodzi; nie pytam nawet, skąd rodem i na jakiej w Paryżu lub gdzieindziej mieszka ulicy p. Noziere. Może też nie istnieje wcale.

Pokazano mi na scenie Teatru Letniego sztukę p. t. „Chrzest”, podobno napisaną do spółki przez pp. Savoir'a i Noziere'a, a napewno graną już w Paryżu przy akompaniamencie hucznych, a nieprzyjaznych manifestacji. To mi najzupełniej wystarczy. Manifestacje zaś... paryskie nie są w stanie zbić mię z tropu—własnego zdania o sztuce. Może ją *ad usum* sceny warszawskiej poobcinano i zmodyfikowano? Nie mam prawa w to wglądać. Mam prawo widzieć i słyszeć tylko to, co działo się i co mówiono na scenie Teatru Letniego.

Czyliż z krzesła mojego na parterze sykał i wyzywał „od” skandalu publicznego? Nie, nie widziałem dobrej racy i nie miałem powodu do uwidocznienia w tak dosadny sposób miotających mną uczuć i wrażeń.

Przedewszystkiem sztuka jest tak mało francuska, a tak wiernie odtwarza stosunki... tutejsze, żeśmy każdą postać—wyjąwszy tylko *monsieur* a Le Courtois, każdą sytuację, każdą tyradę, każdą charakterystycę występujących osób, nieomal każdy ruch takiego np. bankiera Blecha lub babci Blechowej witali, jak najlepszych, dawnych znajomych. Otraskaliśmy się z *tem* od lat wielu *in petto*. Gdyż jedynie silniejsze wrażenie, które sztuka wywiera, polega na tem jedynie, że głośno, otwarcie, a chwilami cynicznie rozbrzmiewa ze sceny to, o czem mówimy tu między sobą nieraz po cichu lub o czem starannie unikaliśmy—mówić.

Sztuka bowiem cała obraca się około sprawy przyjmowania przez inteligencję zamożną żydowską chrztu, t. j. wyznania katolickiego. Sprawa, jak wiemy dobrze, do dziś dnia nic nie uroniła z aktualności swej i żywotności. Asymilowanie się Żydów do społeczeństw chrześcijańskich, wśród których przebywają, asymilowanie się przez chrzest i przechodzenie na łono Kościoła katolickiego, trwa w dalszym ciągu i w dalszym ciągu stanowi wśród samych Izraelitów przedmiot dyskusji: warto czy nie warto, opłaca się czy nie opłaca tą właśnie drogą wychodzić z własnego, zamkniętego środowiska i zdobywać sobie równouprawnione obywatelstwo wśród chrześcijan—od urodzenia?

Pp. Savoir i Noziere, wychłostawszy na żywym przykładzie rodziny Blechów ciętą i trafną satyrą *pubudki*, które *przeciętnie* zniewalają Żydów do porzucenia wiary ojców, zamykają rzecz swoją morałem, że... przetrwać się (bez szczerego, a imperatywnego przekonania) do katolicyzmu Żydom—nie warto. Nie warto, albowiem żaden chrzest, żadne oficjalne przyjęcie neofity do społeczeństwa „wiernych” nie zgładza fatalnego piętna *rasy*, które długo, bardzo długo, przez kilka pokoleń, nie da ochrzczoneму Żydowi zupełnego równouprawnienia moralnego wśród chrześcijańskiego społeczeństwa. A i to jeszcze pytanie, czy pra-pra-potomek neofity zdoła uniknąć wytykania go palcem, jako pra-pra-wnuka... żydowskiego. Tak już, tragiczny dla Żydów, bieg rzeczy na ziemskim padole.

Żydem być to istne „nieszczęście” — twierdzą pp. Savoir i Noziere — i z nieszczęścia tego, prawdę rzekłszy, wyjścia niema.

Nie bawmy się w dyskusję na tem miejscu z pp. autorami „Chrzta”. Zawiodłaby nas ona zbyt daleko. Nie potrzebujemy również podkreślać, że z punktu widzenia katolickiego, a choćby tylko chrześcijańskiego, pierwszym warunkiem *sine qua non* oderwania się od judaizmu jest przecie—przyjęcie chrztu. Bez tego zapoczątkowania mowy być nie może o wszelkiem dalsem, w ten lub owy sposób uczynieniu Żydowi miejsca wśród chrześcijan, stanowiących, bądź co bądź, jakby jedną wyznaniową rodzinę. Między zakonem Mojżeszowym a zakonem Chrystusa zbyt wielka istnieje przepaść, aby bez jej usunięcia dało się wyobrazić wspólne, ręką w rękę pożycie, niejako rodzinne, chrześcijan z Żydami.

By ją tak nazwać, „kwestya chrztu” przestałaby istnieć wówczas tylko, jeżeliby społeczeństwa ludzkie doszły, jak świat szeroki i długi, do zupełnej—bezwyznaniowości. Na co się jednak nie zanosi.

Przeło też, jeżeli tu i owdzie w sztuce, o której mowa, taki milioner Efraim Blech odzywa się z lekceważeniem nie tylko o katolicyzmie, ale i o wszelkiej „wierze” wogóle, sądzę, iż ujmę tem nie czyni wyznaniu naszemu dla tej prostej przyczyny, że wyraża się w ten sposób: absolutny bezwyznaniowiec. Małoż ich dziś na świecie? Przez to, że wysykamy Blocha lub zgorszymy się jego indyferencją, nie wykasujemy z widowni realnego życia *faktu* istnienia takich, jak Blech *et consortes*, ludzi i nie wydmuchamy z atmosfery duchowej tegoczesnej podobnych opinii i zdań.

Jeżeli zaś skandalizować nas mają opinie Blecha, wygłaszane ze sceny, tedy śpieszmy usunąć co rychlej ze sceny np. wszelkie zabójstwa, cudzołóstwa, zbrodnie moralne etc. etc., które po niej grasują bez ustanku, a które miałyby prawo gorszyć nas w niemniejszej mierze, niż np. twierdzenie Żyda-bezwyznaniowca, że chrzest poczytuje za prostą formalność.

Co do mnie—poprzez sarkazmy, dowcipne zwroty, bystrą spostrzegawczość oraz zręczność roboty scenicznej widzę w sztuce p.p. Savoir'a i Noziere'a treść głębszą, podkład bardzo poważnego i bardzo smutnego problemu życiowego. I dlatego—pomimo zbyt szczerzego wypełnienia sztuki przez jedną jedyną kwestyę, pomimo powtarzających się wariantów jednego tematu, pomimo słabszego aktu trzeciego, niż dwa poprzednie, pomimo dwóch trzech konceptów niesmacznych, a tu i owdzie przeholowania w charakteryzowaniu postaci i układaniu scen—słuchałem sztuki z zajęciem nie słabnącem.

Słuchały też i przyglądały się z uwagą i widocznym interesowaniem się parter i loże, balkony i galerye. Nie przepuszczono ani jednego zwrotu, ani jednego subtelnego wyrażenia się bez podkreślenia go temi lub owemi oznakami—rozumienia.

Nie zdecydowano się tylko klaskać—wyraźnie. No bo jakże? Sztuka biegnie przez dwa pierwsze akty kursem mocno akcentowanego satyrą i humorem jakby antysemityzmu, a dopiero w końcu trzeciego aktu bierze kurs jakby ortodoksyi żydowskiej separatystycznej, plemiennej i wyznaniowej. Cóż więc oznaczałyby oklaski?

Dzięki tym perpleksjom premierowej publiczności, świetnej grze artystów, oraz wytwornej *mise en scène* dostały się skąpsze brawa, niż należało.

A przecież właśnie w owym „Chrzcie”, wystawio-



Marya Fedorowiczowa. Fot. J. Golcz.

nym i zagranym znakomicie, odzyskaliśmy osłabłą ostatnimi czasy maistrę naszej sceny dramatycznej, której, doprawdy, niewiele dziś głośniejszych u świata zespołów artystycznych dorówna.

I widzieć trzeba było, jak wypróbowanym siłom sceny naszej, Frenklowi, Leszczyńskiemu i Marcello-Palińskiej, trzymającym z pełnym honorem pierwsze skrzypce, sekundując dzielnie p.p. Aniela Bogusławska, Brydzyński, Antonina Junosza, Wilczyński... Tylko tak umiejętna do wirtuozostwa i pełna taktu i dyskrety gra umożliwiła sztuce wysoce „drażliwej” przejście przez scenę—pomyślnie.

Co zaś do powodzenia... to zapewni go sztuce ostentacyjne bojkotowanie jej i głośne skandalizowanie się nią pewnych sfer naszych towarzyskich. Najniechybniejsza to—reklama.

Tymczasem zaś w Teatrze Gawalewicza wobec przepełnionej publicznością wielkiej sali Filharmonii wystawiono czteroaktową sztukę p. Maryi Federowiczowej „Na przepadle”.

Sama autorka, do niedawna należąca do ulubionych artystek Teatru Rozmaitości, zagrała niepomysłnie główną rolę bohaterki. To niespodziewane potknięcie się wytrawnej artystki naraziło na szwank niemały opinię sztuki, którą nazajutrz po premierze krytyka odsądziła od wszelkich zgoda przymiotów.

Bezwzględność tu była stanowczo zbyt—porywczą. Utwór dramatyczny p. Federowiczowej nie może rościć pretensji do rangi arcydzieła, rozwija jednak umiejętnie wierny, a miejscami żywy i plastyczny obraz czarnej doli dziewczyny z miejskich suterren, której zarówno pierwsza miłość, jak druga, dają tylko gorycz, ły i upokorzenie. Idzie przez życie wykołojona, uwodzona, zawadzona i poniewierana. Z całego wymarzonego szczęścia otrzymuje tylko... brylanty, rzucone pod stopy gwiazdy teatralnej przez przeciętnego amatora przelotnych „stosunków”. Świat i życie—niemiłosierne dla Zośki. Z jękiem bolesnym, z melancholią trującą idzie ona sama... na przepadle.

Sztuka ma jedną zabójczą wadę: akt ostatni dłuższy, niż wszystkie inne, i bledszy. To też kontrast wrażenia, osiągniętego przez znakomicie podane przez reżyserę pierwsze dwa akty w środowisku rzemieślniczem, oraz przez interesujący akt trzeci (za kulisami teatru) a bezbarwności zakończenia sztuki zdecydował o wrażeniu ogólnem. Mogło wypaść całkiem inaczej przy zredukowaniu ostatniego aktu do dwóch krótkich scen.

Dyrektor zarządzający Filharmonii i Opery, p. Aleksander Rajchman, podał się do dymisyi i, jak słyhać, opuszcza Warszawę, udając się dla kuracji za granicę.

Ostatnimi czasy formalną kampanię prowadzono przeciwko p. Rajchmanowi w niektórych organach prasy, nie szczędząc zarzutów natury przeważnie osobistej.

Mieliśmy już sposobność wyrazić na tem miejscu opinię, że sprawą publiczną może być tylko *jakość* działalności opery naszej i Filharmonii z pominięciem wszelkich „towarzyszących okoliczności” — zakulisowych. Wychodząc z tego założenia, wolno nam przypomnieć, że niczyjej, tylko p. Rajchmana energii i zapobiegliwości zawdzięcza Warszawa posiadanie instytucji tak poważnej i europejskiej skali, jak Filharmonia, oraz że pod dyktando p. Rajchmana szła przez cały ubiegły sezon zimowy opera nasza, zasobna w urozmaicone repertuar i świecąc sutymi, do zbytku nawet może sutymi, występami pierwszorzędnymi sił wokalnych.

Wystarczają te fakty dla wyrażenia żalu, że ubywa nam w osobie p. Rajchmana siła w pracowitości i energii wypróbowana.

Zarząd Filharmonii podjął czasowo dalsze przygotowywanie koncertów filharmonijnych, oraz widowisk operowych (tych ostatnich na mocy zawartej na nadchodzący sezon umowy z dyrekcją teatrów rządowych). Życzymy, oczywiście, najszczerzej — powodzenia! Ale zadanie niełatwe.

Obym był złym prorokiem... ale widzi mi się, że brak ręki pomocnej, może szorstkiej i arbitralnej, ale wprawnej i niestrudzonej, da się uczuć zarządowi Filharmonii i operze.

Miejmy jednak nadzieję, że i w tym wypadku maksyma „niema ludzi nie zastąpionych” wykaże trafność swoją.

CZESŁAW JANKOWSKI.

Walka z cholera.

W Petersburgu, gdzie ostatnimi czasy groźna cholera azjatycka nie przestaje nękać stołecznej ludności, zabierając setki ofiar dziennie, rozpoczęto z nią nieustającą walkę, stosując wszelkie środki i sposoby dla jej zgńębienia. Jednym z wypróbowanych i zazwyczaj skutecznych środków współczesnej medycyny jest wstrzykiwanie przeciwcholerycznej surowicy.

Moment ten przedstawia załączona obok ilustracja.



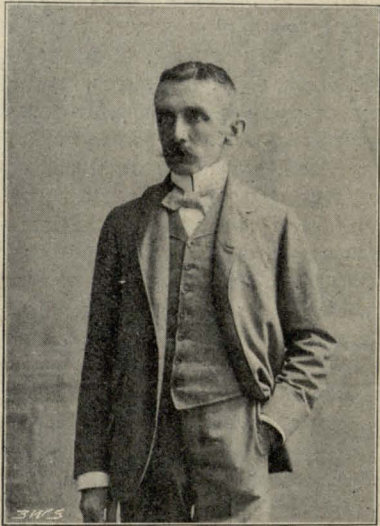
Szczepienie surowicy anticholerycznej w Petersburgu, na Karpówce. Fot. K. Bulla.

Władysław Pilat.

Dr. Władysław Pilat, profesor politechniki lwowskiej, docent uniwersytetu, zmarł dnia 5 b. m.

Zmarły zajmował wybitne stanowisko w świecie naukowym. Pracował głównie w dziedzinie socjologii, wydając wiele większych i mniejszych studyów z tego zakresu, odznaczających się gruntowną znajomością przedmiotu.

Niektóre z prac swoich zamieszczał także w *Przewodniku naukowo-literackim* i w *Gazecie Lwowskiej*. Niemniej owocna była pedagogiczna działalność zmarłego uczoności, który zarówno w gronie kolegów, jak u młodzieży cieszył się szczerem uznaniem i sympatją.



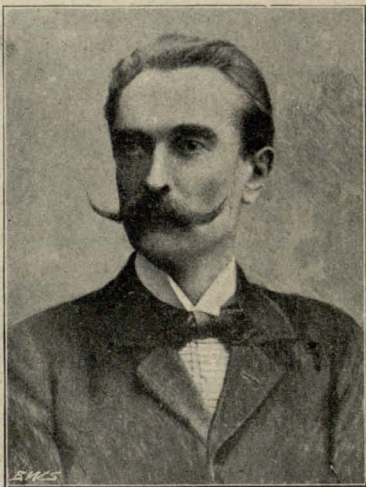
Dr. Władysław Pilat.

Przed domem żałoby zegnali zmarłego serdeczną przemową: prof. Thullie imieniem politechniki i prof. Grabski imieniem uniwersytetu. Cześć Jego pamięci!

Klemens Kołakowski.

Z obozu dziennikarskiego śmierć zabrała jeszcze jedną postać jasną i szlachetną, pełną ukochań i hasań patriotycznych. „Czołem ojczyźnie — szponem wrogów!” — oto słowa jednego z wierszy zmarłego, które przeszły do ostatniej skarbicy hasań sokolskich i same w sobie zawierają już duchową charakterystykę działalności zmarłego na polu społecznym, dziennikarskim i poetyckim.

Urodzony w r. 1856 z rodziny, która straciła majątek na cele patriotyczne, już z ławy uniwersyteckiej rzucił się na zachwaszczony pole dzia-



Klemens Kołakowski.

łania na najdalszych kresach wschodnich na Bukowinie, zakładając wydawaną do dziś *Gazetę Polską* w Czerniowcach i biorąc czynny udział w „Sokole”, „Czytelnicy Polskiej”, „Domu Polskim” i „Polskiem kole na Bukowinie”. Po dwudziestu latach owocnej pracy na Bukowinie przeniósł się do Lwowa, gdzie wydawał najpierw *Tygodnik Narodowy*, a następnie, po jego zawieszeniu oddał się codziennej robocie dziennikarskiej, nie zaniedbując działalności społecznej i kresów czernowieckich... Przed czterema laty zmogła go nerwowa choroba, która przecięła życie tego prawdziwego obywatela kraju i społeczeństwa.

Wojciech Osmański.

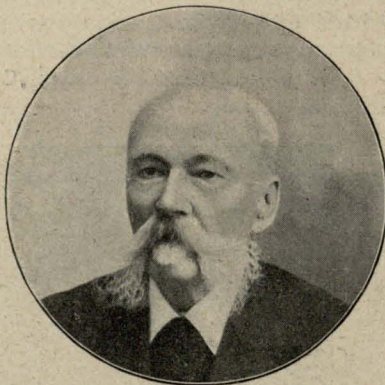
W szpitalu Dzieciątka Jezus rozstał się z życiem w dniu 17 września popularny artysta-muzyk i kompozytor, a przez lat 50 członek orkiestry teatrów warszawskich, Wojciech Osmański. Zmarły urodził się w roku 1833 w Krakowie, skąd po ukończeniu bursy muzycznej jako 24-letni młodzieniec przybył do Warszawy, z której nie wyruszył aż do ostatnich chwil swego życia. Ś. p. Osmański był typową postacią naszego miasta. Grywał, jako dzielny pianista, w domach prywatnych, udzielał lekcji muzyki na fortepianie, oraz komponował lub układał zręczne wiązanki rodzimych melodyj.

Szczególnie znane są jego „Kłosa polskie”, a dużą wziętością cieszyły się również w swoim czasie żywe i barwne mazury i marsze, wśród których największą popularność swojemu twórcy zdobyły: „Marsz żuawów” i „Mazurek ułański”.

Zmarł w sędziwym wieku 75 lat, a jak to się często zdarza wśród artystów polskich, w okolicznościach tak przykrych, że aż... za składkowe pieniądze odbył się pogrzeb.

Samuel Hirszenberg.

W dniu 15 września zmarł w Jerozolimie wybitny artysta-malarz, Samuel Hirszenberg. Przed rokiem miejscowy zarząd kolonii żydowskiej powołał go na stanowisko dyrektora i kierownika szkoły Sztuk Pięknych. Sztuka traci w nim bardzo poważną siłę, szczerę i pełnego najczystszych dążeń estetycznych artystę. Zmarły urodził się w Łodzi w r. 1866. W piętnastym już roku życia wyjechał na studia do Krakowa, skąd po przebyciu czterech lat w szkole sztuk pięknych udał się następnie do akademii w Monachium, którą chlubnie



Wojciech Osmański.

ukończył w roku 1889. Tam powstają pierwsze jego większe prace: „Urania” i „Jeszybałem”, za które na wystawie paryskiej otrzymał medal srebrny. W roku 1891 ym wraca do Krakowa, a stąd do rodzinnego miasta Łodzi, gdzie pracuje w dalszym ciągu, nadsyłając swe obrazy na wystawy warszawskie. Szczególniejszą zwłaszcza sensację wywołał jeden z nich, zatytułowany „Żyd wieczny tułacz”.



Samuel Hirszenberg.

Artysta, powołany niedawno do Jerozolimy, zmarł w pełni sił twórczych, bo w 42 roku życia. Obszerniejszą jego sylwetkę i reprodukcje cenniejszych obrazów odkładamy do następnego numeru.

NA WYSTAWACH W LUBLINIE.

Wystawa higieniczna! Wystawa ogrodnicza! Tę drugą otwarto w Lublinie, jak już o tem wzmiankowaliśmy, w pięć dni po pierwszej. A jaka szkoda, że obudwu tych wystaw nie połączono w jedną całość! Bo, kiedy w ciągu czterech dni istnienia pokazu ogrodniczego w parku Bronowickim, wszedłszy do opuszczonych jego alei i zabudowań byłego Komitetu trzeźwości, widziało się tyle wspaniałych roślin i owoców, dostarczonych tutaj przez 60 tylko wystawców, i to bynajmniej nie z samej gub. lubelskiej, żal było doprawdy, że te wszystkie cuda sztuki i kultury ogrodniczej oraz pracy i zabiegłości rąk ludzkich nie znalazły się na placu Twa rolniczego, siedzibie wystawy higienicznej.

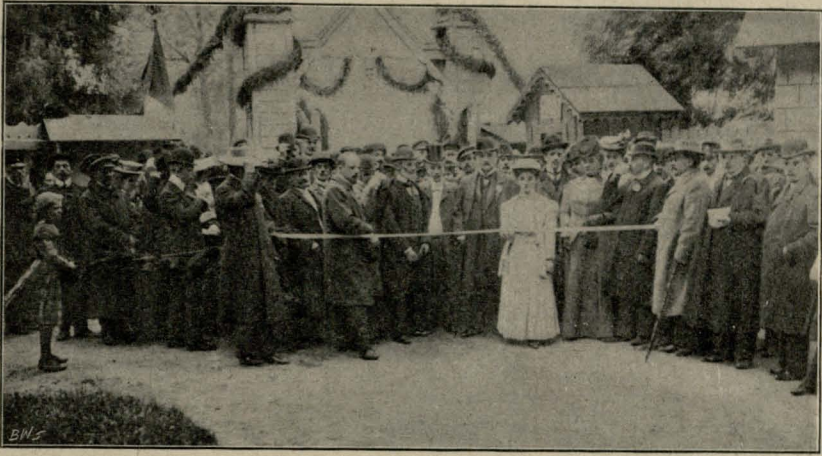
Bo cóż może być higieniczniejszego i zdrowszego ponad owoce i warzywa, tak chętnie i hojnie stosowane obecnie w dyetetyce lekarskiej?...

Więc rozdział obudwu wystaw nie wyszedł na korzyść jednej i drugiej. Bo, jak słusznie powiedział Edmund Jankowski w przemówieniu swoim podczas otwarcia wystawy ogrodniczej, ziemię lubelską stać było, doprawdy, na wiele więcej, niż to, co zaprodukowałam.

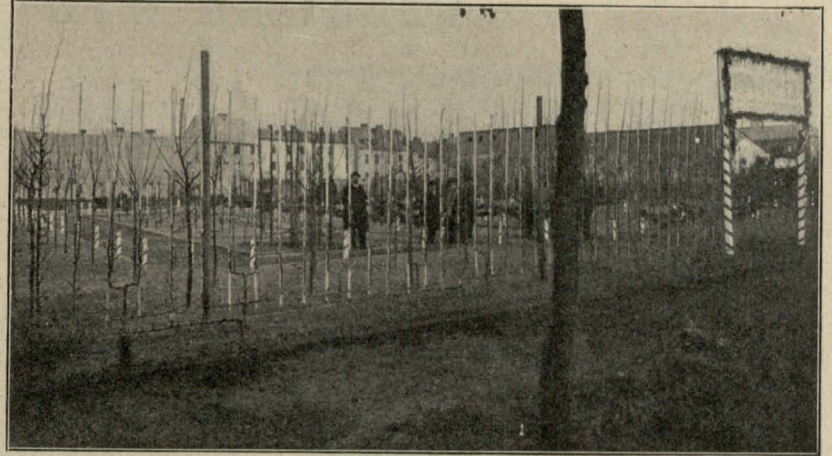
To „mało” w połączeniu z wystawą higieniczną byłoby jej doskonałym zabarwieniem, trafnym i słusznym uzupełnieniem, prawdziwą wreszcie ozdobą. Boć nie za co innego służyć mogą wspaniałe łąki, niczem nie ustępujące francuskim, drzewka owocowe formowe, przesadzone na grunt wystawy lubelskiej z ogrodów pod Warszawą C. Ulricha i Br. Hoserów. Obiedwie te firmy, zasłużone tak bardzo dla ogrodnictwa krajowego, nie zaważyły się ponieść ogromnego kosztu i kłopotu, ażeby wystawę ogrodniczą lubelską prawdziwie upiększyły i uświetniły udziałem swoim. Istotną jednak dla nich nagrodą będą nie otrzymane na wystawie najwyższe dowody uznania, ale ta chęć naśladownictwa u prowincjonalnych właścicieli ogrodów, którą niewątpliwie świetnymi wynikami w hodowli owoców, drzew i nasion zaszcześciły w nich musieli.

Niedzielny zjazd do Lublina gości wystawowych dosięgnął niebywalej cyfry 7,000 osób, nawet z odległych stron kraju przybyłych! I jeżeli na wystawie ogrodniczej goście jej niedzielni odnieśli duży pożytek z ćwiczeń popisowych straży ogniowych wiejskich, a zadowolenie estetyczne z „Okrężnego”, przeniesionego żywcem do parku Bronowickiego z pól i siód lubelskich, to niewątpliwie jeszcze większą korzyść odnieść zdołali z wystawy higienicznej. Bo, przeglądając baczenie jej działy i oddziały, znaleźć i widzieć musieli niewątpliwie te naukowe prace statystyczne pp. Henryka Wiercińskiego, dra Tolwińskiego, dra Janczewskiego i kilku innych, których pierwszorzędną wystawą naukowo-społeczną powstydzicby się nie mogła.

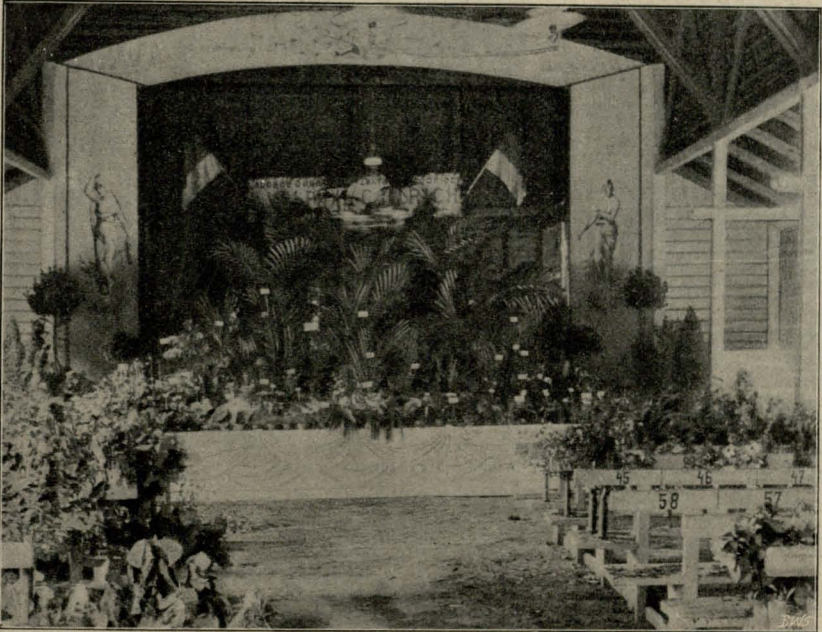
Na najgorętsze zasługują poparcie usiłowania stworzenia przemysłu ludowego, wyrażone w wyborach i zupełnie do potrzeb dobrego smaku dostosowanych wyrobach tkackich z Frampola, gdzie jeden tkacz łódzki, Paweł Dudek, potrafił zrzeszyć trzystu pokrewnych braci po czółenku, wyzwalaając ich z zależności handlowej spekulantów i wyzyskiwaczy i dając możność samodzielnego spożytkowywania własnej pracy dla siebie.



Po przemówieniach wice-przeesów komitetu wystawy, pp. E. Piotrowskiego i redaktora Edmunda Jankowskiego, panna Teresa Piotrowska przecina wstęgę.



Jedna z głównych ozdób i ciekawości wystawy: szkółki ogrodnicze i owocowe C. Ulricha ze wspaniałą kolekcją drzewek t. zw. „formowych“.



Na widowni teatru „Bracia Hoser“ rozstawili swoje wspaniałe kwiaty cięte i gałęzie drzew ozdobnych, na scenie zaś warszawski znany zakład C. Ulricha urządził wystawę palm, a wokół nich wystawę rozmaitych odmian owoców.



Plantacje miejskie m Lublina pomieściły się w pawilonie osobnym, przed którym urządzono taras kwiatowy.



Wystawa 5 kótek rolniczych z 4-ch powiatów gub. lubelskiej—jarzyn i owoców, przybranych kilimkami tkaczy z Frampola.



Kujawianki na wystawie lubelskiej, szkoła gospodarcza dla dziewcząt w Krużynku. Fot. „Zofia“.

W innym znów kierunku pracuje nad ludem, powierzonym jego pieczy, ks. Padziński, proboszcz z Fajslawic. Ten prawdziwy kapłan i ojciec swoich parafian nie ogranicza się na umoralnianiu ich słowem, ale schodzi sam do nizin ich codziennego bytowania i, uwzględniając najkonieczniejsze i najprostsze potrzeby higieniczne zapracowanego, oświatę i kulturę dopiero wchłaniającego wieśniaka, obmyśla dlań najprostsze, najwzajemniejsze sprzęty domowe i naczynia gospodarcze, zgodne z kardynalnymi przynajmniej wymogami higieny.

W tym samym duchu ożywienia i wyzyskania zdolności przyrodzonych, rękodzielniczych i zdobniczych ludu naszego pracuje „Pierwsza szkoła koszykarstwa i zabawkarstwa Tow. Przemysłu Ludowego w Nałęczowie“. Wyroby jej wychowalców tak drobne, a tak już misterne i solidne ze wszech miar zasługują na naśladowanie wszędzie, gdzie dobra wola i zmysł przedsiębiorczy ten

nowy zakres drobnego przemysłu wiejskiego wprowadzić i wyzyskaćby pragnęły.

Niewątpliwie obok tego drobnego przemysłu ludowego lubelskiego wspaniale i okazale przedstawia się dział wielkiego przemysłu warszawskiego w zastosowaniu do higieny. Prym niewątpliwie trzymają tutaj urządzenia szpitalne i meble żelazne Towarzystwa akcyjnego Konrad, Jarnuszkiewicz i S ka, które niedarmo ma już za sobą kilkudziesięcioletnie doświadczenie, z zaopatrzenia setek różnorodnych zakładów leczniczych i dziesiątków hotelów w kraju, Cesarstwie, Galicyi i nawet w Azji, wyniesione. Dwa oddziały tej firmy wraz z prawdziwie precyzyjnymi narzędziami przeciw-ogniowymi Towarzystwa Akcyjnego List w Moskwie, przedstawionymi przez dom G. Hantkego z Warszawy, muszą zatrzymać dłużej każdego, zwiedzającego pawilon główny wystawy lubelskiej.

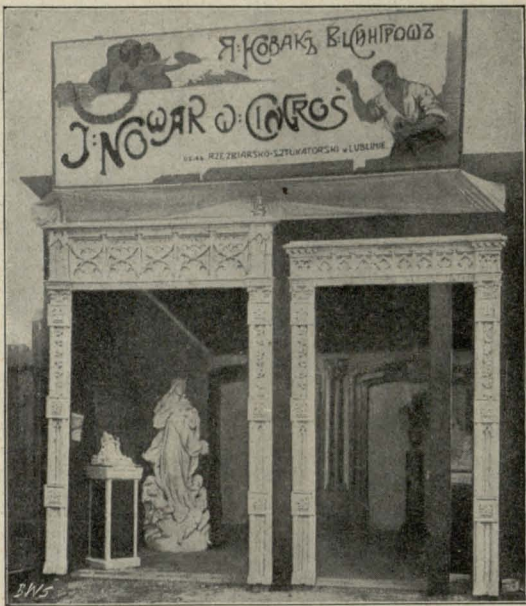
Radzimy mu też nie ominąć oddziału fabryki mebli drzewnych i giętych w Zwierzyńcu, przez Ordynację Zamoyskich wzorowo prowadzonej.

Jest jeszcze wiele innych godnych widzenia i zbadań rzeczy na wystawie higienicznej w Lublinie, nawet dla przeciętnego jej gościa. W luźnym artykule nie możemy, niestety, dać pełnego i plastycznego obrazu przedstawionych na wystawie tej okazów. Niechaj więc tylko to, co zdołaliśmy tu nakreślić, stanie się dla czytelników *Tygodnika*, dokąd sięga jego poczytność, zachętą do zwiedzenia wystawy w Lublinie, zwłaszcza dla mieszkańców wsi, którzy w swoje zacisza mogą przywieźć z niej wiele zmienionych na lepsze pojęć i poglądów w dziedzinie higieny i zdrowotności mas ludowych do jak najzarliwszego zastosowania ich w swoich środowiskach.

VITIMIR

KONIEC DZIAŁU REDAKCYJNEGO.

CZESI NA WYSTAWIE LUBELSKIEJ.



Oddział firmy Nowak i Cingros na wystawie lubelskiej.

W dobie entuzjazyzmów polsko-czeskich i tyle udanych wycieczek polskich na wystawę w Pradze Czeskiej, nie tylko dla tych, którzy ją zwiedzili, ale i dla wszystkich gości wystawy lubelskiej nie może być objętą udział w niej dwóch Czechów, stanowiących spółkę przemysłowo-artystyczną, a pracujących nad rozwojem przemysłu kamieniarsko-rzeźbiarskiego na naszym gruncie.

Pp. Wacław Cingros i Jarosław Nowak, otrzymawszy odpowiednie przygotowanie naukowe i fachowe w ojczyźnie swojej, pierwszy z nich w Pilźnie, a drugi w specjalnej szkole rzeźbiarsko-kamieniarskiej w Horzycy, przed laty siedmiu osiedli najpierw w Warszawie, a potem, chcąc rozszerzyć swój wywóz do Cesarstwa, a zwłaszcza na Kaukaz, przenieśli się do Lublina, gdzie też na rogu ulic Cmentarnej i Krakowskiego Przed-

mieścia prowadzą pierwszą lubelską fabrykę parową wyrobów rzeźbiarsko-kamieniarskich. Zatrudnia ona 85 robotników przy 24-konnym motorze parowym.

O wynikach pracy i zabiegliwości, oraz o smaku artystycznym dwóch pobratymców naszych świadczy oddział ich na wystawie lubelskiej. Przedewszystkiem rzucają się w oczy drzwi gotyckie sztukatorskiej roboty, przeznaczone do gabinetu w pałacu gubernatora lubelskiego, według projektu p. Paprockiego, w czystym stylu gotyckim wykonane. Widzimy przez nie w głębi framugi wystawowej dwie, dobrze w kamieniu wykute figury kościelne nadnaturalnej wielkości, a w głębi widnieją i połyskują obramienia łóż marmurowych, wykonanych dla kolatorów w kościele parafialnym w Sobotnikach, w gubernii wileńskiej. Łoże te mają dużo poczucia stylu i czystości linii.

W tym samym kościele oprócz tych czterech łóż, p. p. Cingros i Nowak wykonali w podziemiach katakumby marmurowe, w których złożono osiem zwłok z rodziny hr. Umiaszowskich.

Obecnie p. p. Cingros i Nowak podjęli wykonanie granitowej oblicówki frontu nowo budowanego domu ordynata Adama hr. Krasińskiego, przy ul. Mazowiec-



Oddział modelatorski i sztukatorski zakładów Nowak i Cingros.



Jeden z projektów fontanny, mającej stanąć na Krak.-Przed. w Lublinie, na pamiątkę wystawy higienicznej, wykonany przez firmę Nowak i Cingros.

kiej w Warszawie, oraz wykonywują piedestały granitowe do stacyi Męki Pańskiej, dłota Welońskiego, na Jasnej Górze w Częstochowie.

Tak więc dwaj dzielnicy, młodzi Czesi, łączący w sobie umysł handlowo-przemysłowy z poczuciem artystycznym, przyczyniają się do upiększenia wielu gmachów w kraju naszym, zapewniając przytem stałą pracę kilkudziesięciu robotnikom.

Nie zaniedbują oni także dziedziny czystej sztuki.

Dowodem wystawione w Lublinie dwa ich projekty fontanny, mającej upamiętnić wystawę higieniczną lubelską na tamtejszem Krakowskim Przedmieściu. Doznały one ogólnego uznania znawców, ale o wyborze projektu fontanny zadecyduje sama publiczność lubelska.

MYDŁO NAFCIANE.



Od lat wielu starano się wynaleźć mydło, które odpowiadałoby wszelkim wymaganiom higieny. Dopiero w ostatnim czasie jednak udało się kwestyę tę rozstrzygnąć pomyślnie przy fabrykacji mydeł toaletowych, dzięki użyciu tak zwanych węglowodorów w postaci nafty. Zbawienny wpływ jej, jako środka leczniczego, był oddawna znany, ale pomimo to nie miała ona dostatecznego zastosowania z powodu, że użycie nafty do fabrykacji mydeł połączone było z wielkimi trudnościami.

Doktorowi A. Golcwaigowi udało się wady nafty zwalczyć i usunąć i dzięki nowemu wynalezionemu przez niego sposobowi oczyszczania nafty otrzymał on absolutnie bezwonne produkty, które w połączeniu z kwasami tłuszczowymi okazały się doskonałym materiałem do fabrykacji mydła kosmetycznego p. n. „Higieniczne mydło nafciane dra A. Golcwaiga”.



Oddział Hordliczki i Stamirowskiego na wystawie lubelskiej. Fot. „Zofia”.



Na wystawie lubelskiej mydło to jest rzeczywiście jednym z najnowszych i najpożyteczniejszych wynalazków, które wprowadzono już we wszystkich większych fabrykach łódzkich, jak: Scheiblera, Poznańskiego, Geyera, do oczyszczania bawełny i zastosowano również do prania i apreturowania całych gotowych, czystych tkanin. Fabrykację tego mydła dr. Golcwaig przeniósł do Łodzi, skąd rozchodzi się ono na cały kraj i Cesarstwo, stosowane nie tylko do celów włóknistych, ale i do prania bielizny.

Dom Handlowy „Hordliczka i Stamirowski” w Łodzi, mający reprezentację główną i sprzedaż mydła „nafcianego”, urządził z niem na wystawie szereg demonstracji, podczas których goście wystawy lubelskiej będą mogli z łatwością przekonać się o wszystkich zaletach tego nowego archyhygienicznego produktu.



AMERYKA NA WYSTAWIE.

Czy może być obecnie jakakolwiek wystawa bez zaprodukowania na niej wyrobów tak ruchliwego i wynalazczego przemysłu amerykańskiego?

Wszystkie wystawy, nawet najmniejsze specjalne, dają nam na to odpowiedź przeczącą.

Więc wystawa lubelska obejść się też nie mogła bez produkcji amerykańskiej, obejmującej naprawdę dziś „ziemskie kolisko“.

Przemysł zamorski reprezentuje tedy na wystawie jeden fabrykat, ale jakością wystarczającą sobą za ilość w zupełności.

Jest nim jedna z najpopularniejszych dziś na całym świecie, a już i u nas także maszyna do pisania, „Underwood“, którą wystawiła firma G. Gerlacha z Warszawy. 250,000 maszyn tych w użyciu; 12-ie największych nagród, zdobytych w ciągu siedmiu lat na wystawach w Paryżu, Wenecji, Buffalo, Rzymie, Petersburgu, Limoge, Saint Louis, Lutece, Portland-Oregonie, w Medyolanie i wielu innych; zwycięstwa na konkursach wszechświatowych szybkości w pisaniu na maszynach w ostatnich trzech latach w Chicago i New Yorku, gdzie w roku bieżącym na maszynie „Underwood“ osoba pisząca osiągnęła nie praktykowaną szybkość 97 słów na minutę—oto krótkie, ale wymowne dowody wszechświatowego uznania, jakie „Underwood“ z natury rzeczy znakomitych swoich zalet technicznych otrzymuje.



Widzicie ją czytelnicy powyżej.

Tak samo oglądają ją goście wystawy lubelskiej, ale w otoczeniu estetycznie rozrzuconych najróżnorodniejszych dodatków do maszyn tego systemu, więc taśmy różnokolorowej, kalki różnego gatunku, pulpitów, stoliczków i innych drobiazków pomocniczych, z którymi najlepsza jednak maszyna do pisania nie będzie nią,

jeżeli nie daje pięknego i wyraźnego pisma, jeżeli nie ma trwałej i dokładnej konstrukcji, nie jest dogodna i łatwa do prędkiego czyszczenia czcionek, nie pozwala na dokładne i swobodne wkładanie i wyjmowanie papieru.

„Underwood“ posiada te wszystkie zalety, i stąd jej przewaga nad innymi systemami maszyn, oraz to świetne reprezentowanie przemysłu amerykańskiego na wystawie lubelskiej, o którym powyżej wzmiankowaliśmy.

Obok „Underwood'a“ firma G. Gerlach zgrupowała „arytmometry“ do czterech działań arytmetycznych, odznaczające się w stosunku do innych nadzwyczaj prostą konstrukcją i bardzo szybkim wykonywaniem działań, zwłaszcza mnożenia i dzielenia, tudzież duży wybór piór „wiecznych“ do pisania amerykańskiej marki „Waterman“.

Pióra te cieszą się zarówno na wystawie, jak i wszędzie, ze względu na swoją uznaną praktyczność znacznym pokupem.

To przecież niby drobiazg, takie pióro, a że Ameryka je stworzyła, obiegło już świat cały i ułatwia, tak samo jak i maszyna do pisania „Underwood“, stosunki ludzkie, międzynarodowe.

Bo tylko takie horyzonty zakreśla nowy przemysł amerykański...

PAROWA FABRYKA CUKIERKÓW

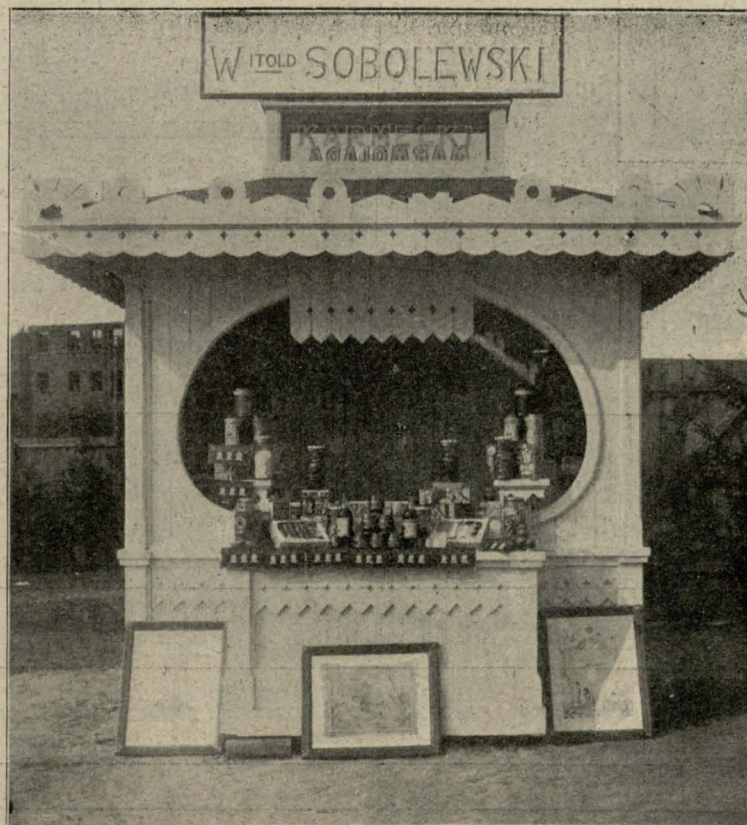
WITOLD SOBOLEWSKI,

WARSZAWA.

Po niedawno ukończonej wystawie ciechocińskiej, gdzie firmę tę nagrodzono *medalem złotym*, ruchliwy i energiczny właściciel, p. W. Sobolewski, nie zaniedbał skorzystać i z wystawy lubelskiej, gdzie tuż przy orkiestrze, przy głównym wejściu ustawił swój piękny kiosk w stylu zakopiańskim, aby ciągle przypominać szerszemu ogółowi, że my u siebie w kraju potrafiliśmy fabrykować nawet lepszy towar po niższej cenie, na co wpływa już choćby tylko różnica przewozu koleją z Cesarstwa.

Bo też różnorodność wszelkich gatunków cukierków i karmelków nadzwyczajnych, opakowanych w bardzo gustowne etykiety, wabi oczy przechodnia, że wymienimy choćby gatunki karmelków: „szyjki rakowe“, „sokolskie“, „nirwana“, „sek“, „deserowe“, „marzenie“ i setki innych, oprócz wszelkiego rodzaju cukierków „atłasowych“, „irysów“, marmolady owocowej w wyborowym gatunku, soków owocowych i wielu t. p. słodczy w bardzo gustownych opakowaniach.

Materyały, używane do produkcji, sprowadzane są z Czech i Japonii, farby



Kiosk Witolda Sobolewskiego na wystawie w Lublinie.

zaś używane są tylko roślinne, zatwierdzone przez Departament Rady lekarskiej (za nr. 3747).

Pomyślnie rozwijająca się fabryka, mieszcząca się obecnie przy ulicy Zimnej Nr. 4, nie może już pomieścić wszystkich robotników, których z górą jest 69, i dlatego obecny właściciel buduje na Woli fabrykę na 200 pracowników, podług nowych wymagań techniki i higieny. Pomimo więc zastoju w handlu i przemyśle, młody przemysłowiec coraz więcej rozszerza swoją fabrykację, gdyż, jak nas objaśnił, z chwilą przeniesienia fabryki wprowadza kolejno, jako nowe artykuły: pierniki, czekoladę i biszkopty. Również na skutek licznych zapytań i ku wygodzie konsumentów p. W. Sobolewski w krótkim czasie otwiera sklep detaliczny przy jednej z głównych ulic Warszawy.

Oprócz *medalu złotego* w Ciechocinku firma ta za wyborowe cukierki nagrodzona jest jeszcze 5 medalami na wystawach w Cesarstwie i zagranicą. Życzymy więc w dalszym ciągu firmie „W. Sobolewski“ rozwoju szybkiego, aby i ten swój produkt trzymał u nas pierwszeństwo.

„F. KOZŁOWSKI” Telef. 39-99 **NAJTAŃSZE ŹRÓDŁO:** Lamp, Porcelany, Fajansu, Szklą, Galanterii, Noży, Widelcy etc., etc. Wynajmuje nakrycia stołowe, plastery, bieliznę, krzesła, stoły.

S. Nowacki

Warszawa, Rymarska 7, róg Leszna

ŻYRANDOLE
kościelne i salonowe do świec i gazu. Wielki wybór. Najniższe ceny. Reperacje i odnawianie żyrandoli.

W wielkim wyborze przyzmy kryształowe do żyrandoli. Jedyny palnik naftowo-żarowy bez wszelkich komplikacji 60% oszczędności nafty. Komplet rub. 3.

KORALE PRAWDZIWE czerwone, różowe i białe
Przybory do szycia i haftu

poleca po stałych niskich cenach

STEFAN POREBSKI
Kraków, Rynek 32, linia C-D

C-SKORYNAJSKA FABRYKA MASZYN I KAMIENI MŁYŃSKICH
BUDOWA MŁYNÓW
WARSZAWA-PRAGA WIELKIE ARTYKUŁY MŁYŃSKIE
OLSZOWA 14. TURBINY, TRANSMISJE i t. p.

ALFONS MANN Narzędzia lekarskie. Wprawy po-
łożnicze. Bandaży i Pasy. Pończochy elastyczne. Trąbki słuchowe.
Warszawa, **Tłomackie 3.** Termophory (do gorących okładów.)
Fabryka założona w 1819 r.

Rynek głów. linia 4B róg ul. Floryańskiej
KRAKÓW Magazyn Nowości **B. WIERZEJSKI**
Ceny bardzo niskie. Wybór wielki. Towary tylko polskie, krajowe.

FRANCUSKA SZKOŁA KROJU I SZYCIA
Nowy-Swiat № 42 **M-me MÈRCERE**
dyplomowanej w Paryżu mistrzyni, system nowy, genre tailleur, moullage, bielizna.
Patenty cechowe.

SZKOŁA SZTUK PIĘKNYCH DLA KOBIET
MARYI NIEDZIELSKIEJ
KRAKÓW—UL. KOLEJOWA L. 3.
Początek nauki dnia 1 października.
Profesorowie:
Feliks Jasieński—St. Kamocki—Ja-
cek Malczewski—Włodzimierz Tet-
majer — Wojciech Weiss — Leon
Wyczółkowski
Szczegółowy program na żądanie.



Łażnia

parowa pokojo-
wa składana, dla
artretyków, reu-
matyków i ka-
taralnych

Niezbędny środek

poleca.

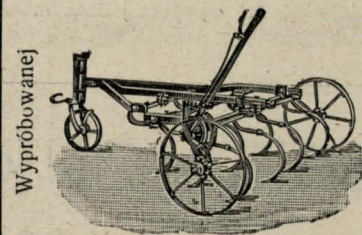
J. ROKICKI i S-ka
Warszawa, Nowo-Senatorska № 1.
Cenniki gratis.

Denaturowany spirytus.
Spirytus stały w puszkach,
spirytusowe lampy, palniki,
kucharki, żelazka i t. p.
B-cia WIŚNIEWSKY i S-ka
Foksal 18, Telefon 3089.

MAISON „SPLENDID”
MAGAZYN
BIELIZNY PARYSKIEJ
Bluzek wiedeńskich
Warszawa, Czysła 2.
Telefon 190 20.

J. MIECZKOWSKI, Fotografia
Marszałkowska III. Telefon 16.81.

Wielki wybór najnowszych
Kultywatorów sprężynowych
zastosowanych do wszelkich rodzajów
gleby i do różnej siły pociągowej.



Szczegółowe opisy przesyłam na żądanie
ALFRED GRODZKI
Warszawa, 33 Senatorska.

Dr. I. Wapiński ord. klin. szpitala
świętego Łazarza
Nowosenatorska 10. Telefon 942. Choroby
skórne i wener. Do 12 rano i od 5—8 w.

MAŁECKI
Fabryka
Fortepianów
i Pianin
PIĘKNA Nr 1 (róg Alei
Ujazdowskiej) tel. 170,65.

W. CYBULSKI i S-ka
Warszawa, Nowo-Senator. 7.
Telefon 60-29
Wyroby Siodlarsko-Rymarskie i Sportowe.

FORTEPIANY,
PIANINA, PIANOŁE,
ORGANY,
MELODYKONY
GEBETHNER i WOLFF
Warszawa, Krak.-Przed. 17

Tow. Akc. **Haberbusch i Schiele**
Browaru
poleca **PIWO PILZEŃSKIE.**

LUDWIK SZUFA
KRAWIEC
KRAKÓW TELEFON 671

SALON „ARS”
Kraków, ulica Św. Jana 1 (I piętro).
Nieustająca wystawa dzieł sztuki i sprze-
daż obrazów najznakomitszych artystów
polskich. Salon otwarty codziennie od 10
do 1 i od 2 do 5.

Księgarnie Gebethnera i Wolffa
W WARSZAWIE,
Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9
pośredniczą
w prenumeracie pism
krajowych i zagranicznych
po cenach redakcyjnych.

ODPOWIEDZI.

P. Janowi Herdymowi. Z wiersza
p. t. „Ze wspomnień”, zakomunikowanego
nam przez p. H. Gallego, z powodu na-
wału materiału pomimo najszczerszych chę-
ci korzystać nie możemy.

H. W. Wierszyki miłe i melodyjne,
autor ma zdolności, prosimy o nadesłanie
dalszych prób.

„Przyjeźdnemu”. *Kuryer Warszaw-
ski, Głos Warszawski i Słowo*, poza
tem *Nowa Gazeta i Goniec*.

PLYN
Cena flak.
rub. 1. **HEMOGEN MAGISTRA KLAWE**
najracjonalniejszy preparat żelaza.

stosowany przy ogólnem osłabie-
niu, małokrwistości, osł. nerwów
i u rekonwalescent. każdego wieku.

Uznany przez powagi lekarskie, ja-
ko **działny środek krwiotwór-
czy i pobudzający apetyt.**

Wyrób laboratorium aptek
Magistra Klawe, Warszawa,
10 Pl. Św. Aleksandra.

J. WAPIŃSKI MAGAZYN JUBILERSKI Krakowskie-Przedmieście Nr 19
dom własny

Bracia ŁOPIEŃSCY polecają **BRONZY** Magazyn Krakowskie
Przedmieście **№ 15** dom Hrabiego
J. Potockiego

Redaktor Dr. JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER i WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesł. do redakcyi, nie zwraca się

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa